

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10
Półrocznie (26 tomów) „ 5
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie . (26 tomów) „ 6
Kwartalnie . (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —
Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —
Kwartalnie . (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47

89
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
№ 290.

PAN ZAGŁOBA I DYOGENES.

(HUMORESKI SZKICE I OBRAZKI)



przez

EDMUNDA BOGDANOWICZA.

(NIXA).



Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcyja i Administracyja
47. Nowy Świat 47.

<http://rcin.org.pl>

1903.

PAN ZAGŁOBA I DYOGENES.

EDMUND BOGDANOWICZ.

(NIX.)

PAN ZAGŁOBA
I OYOCENES.

(HUMORESKI, SZKICE I OBRAZKI).

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-00 Warszawa

Tel. 25-68-53, 25-52-31 w. 42

WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47.



Дозволено Цензурою.
Варшава 7 Іюня 1903 года.

3/10-

ZAGŁOBA I DYOGENES.

Imćpan Zagłoba w życiu swem
Przeróżne miał przygody,
Tedy raz zabrnął—może w śnie—
Za Styksu mętne wody.

I gdy tam chadzał, jako duch,
Zgnębiony tem z kretezem,
Spotkał się nagle nosem w nos
Z Cynikiem Dyogenesem.

Słyszał Zagłoba, że ów mąż,
Mądrości krocząc steczką,
Raz z Aleksandrem dyskurs wiódl,
A wciąż obcował z beczką.

Więc choć godności swojej strzegł,
Herbowi nie ubliżył,
Z człkiem kondycyi nizkiej tak
Do dysput się poniżył.

Z początku była bieda z tem,
Bo chłop cudacznie gada,

A pan Zagłoba z greki swej
Wiedział, iż jest Iliada.

Lecz że w łacinie mocnym był,
Tedy tak zaczął snadnie:
„*Loquor latine, eques sum,*
Choć chmyz to każdy zgadnie.

Siądziem, staruszkę, sobie tu
Gdzie Styks ten brudny płynie.
Jak w retoryce będziem znów
Gadali po łacinie.

A zaś zważ asan, żaden człek
Od śmierci nie odgradzon,
Ale nie każdy *natus est,*
Et bene est—urodzon.

Więc uważ sobie także waść,
Gdy wchodzim w komitywę,
Ze mam na łys waszeci wzgląd
I na twe włosy siwe.

Ile że mówią, jakoś był
Człek w filozofii kuty,
Choć ona była modą psią
I niby psu na buty.

U mnie się waść fortelów ucz
I filozofii sztuki.
Bo—szelmą jestem, jeśli lżę—
Twe greki to nieuki.

Znam ich na wylot, jak swój but,
I kpię z nich całkiem, bracie,

Ażalim to nie bywał zaś
W Zamościu i—Galacie?...

Miałem ci nawet szkołę sam
I uczniów pełne bursy,
Wołodyjowski pierwszy z nich
Szwedom wykładał kursy.

Zaś filozofia, ot ją masz:
Gaśior i kufel pełny,
Życie weselem słodkie jest,
A człowiek siłą dzielny.

Po wierzchu pływa mądrość tam,
Jako na miodzie piana,
I patrzy przedsię jasna w świat
Pogodą pozłacana.

A w sile także mądrość jest,
Lecz nie w tej—co przemocą,
Lecz w tej, co nie da swego wziąć
I bije, gdy jest o co.

W kochaniu także mądrość jest,
Gdy krew uderza falą,
I gdy w różanej niby mgle
Słońca się jakieś palą..

Więc radzę waści tego pij,
I mądrość swą podlewaj,
Co dobre—kochaj, co złe—bij,
Lepszego się spodziewaj.”

Tu pan Zagłoba, gdy się piął
Już po tej górnej steczce,

Chciał z filozofii greckiej też
Usłyszeć coś—o beczce.

Więc Dyogenes zaczął wnet
Nad ludzkim losem biadać
I swój cyniczny system „psi”
Zagłobie jał wykladać.

Słuchał Zagłoba, zdumion tak,
Ze blizkim był konfuzyi,
Nareszcie takie słowa rzekł
W dysputy tej konkluzyi:

„*Opinior*, wasze, w życiu swem
Zwolennik był nagości,
I radził, by *exemplum* pies,
Ogryzać same kości.

By zgoła też w pogardzie mieć
Życiowe wszelkie gusta,
I—(nie wstyd waści!) beczki chcieć,
Gdy całkiem jest już pusta!

Chodziłeś wasze, jako chmyz,
Z latarką przez pół wieka,
Szukając między greki swe
Ludzkości i człowieka.

Ot, trzeba było do nas przyjść,
Wraz niosąc swą chudobę,
Wskazałbym waści ludzi moc
A *praeter* tych — Zagłobę.

Lecz czegoż tam od chmyzów chcieć,
Co gębę płuczą wodą,

I w pustej beczce zgoła (tfu!)
Mizerny żywot wiodą.”

Tu splunął w Styks i tak ci rzekł
Zagłoba po łacinie:
— „Psu taką filozofię dać,
Co z pustej beczki płynie!...”

PAN ZAGŁOBA.

(Humoreski).

I.

Jako pan Zagłoba o nowym wieku prawit.

Kiedy pan Zagłoba *in dulci júbilo* przybył do naszego grodu, by pod zgoła tatarskiem przezwiskiem Łukaj-beya, po staremu, wesołego fortelu zażyć, tedy zaraz sobie pomyślałem: Trzeba z okazji korzystać i znamienitego męża obaczyć, a obaczywszy, na spytki wziąć, czyli, jak to się *noviter* między nami gryzipiórkami mówi: „interviewować.” Chodziłem przeto pilnie od wiechy pod wiechę, pytając wszędy, żali znamienity mąż tam nie bywał. Mówiono najczęściej jako był, ale, że to dokumentnie miasto chciał zwiedzić i nie z jednej beczki miód pić, tedy pociągnął dalej. Zdybałem go nareszcie w loszku przy dzbanie.

Pan Zagłoba zły był, mówiąc, jako uczciwego trunku w całej Warszawie dziś nie najdzie, miody

sapieżyńskie wzdychając wspominał i do szklenicy w żalości wielkiej nieskąpo zaglądał. Przywitawszy go przystojnie, miejsce na zydlu modeste zająłem i materję wykladać jałem, tak poczynając:

— Jaśnie wielmożny panie hetmanie!

Pan Zagłoba uśmiechnął się dobrotliwie i melancholijnie ręką machnął.

— Prawdą jest, jakom szarże wysokie zajmować był zrodzon. Jak waszmość wiesz, regimentarzem mnie obrano, a władzę hetmańską jenom po przyjaźni Sapiowi (smok do miodu był okrutny) odstąpił. Chan krymski za syna mnie chciał mieć, tylko sułtanka Fatka (tu pan Zagłoba zdrowem okiem ku mnie jał mrugać) oponowała, jak to raczej siostrą, niżli matką wołała mi być, a przytem—mawiała—w chańskiej prozapii mógłby się zgoda galimatias uczynić... Tedy, jak waszmość widzisz, nie tylko Łykaj-beyem, ale chanem mogłem zostać. Kogo zasię na elekcyi *in liberis suffragiis* w Warszawie okrzyknięto, o tem modeste zamilczeć wolę. Spytaj Wołodyjowskiego, który odtąd, by *coram me* usiadł, zawsze prosić musiałem. Szelmą jestem, jeśli lże!...

Tu pan Zagłoba zadumał się i kilka haustów potężnych pociągnął i rzekł mi:

— Alem ja na dostojeństwa nie łasy. Tedy mów mi poprostu: „waszmość,” jako to *eques polonus omnibus par*.

Nie mieszając już dalej, zapytałem więc:

— Jak waszmości stary wiek się udał?

Pan Zagłoba pięścią w stół grzmotnął aż się szklenice pochyliły. Co obaczywszy, wyga swoją oburącz pochwycił, a ku mnie w złości zakrzyknął:

— Bodaj waści zabito! Wina sobie ułałem! A choć ten barszcz warszawski dyabła wart, jednak

zawsze szkoda. Co waść ze starym wiekiem, jak z jeżem do psa idziesz i kolere budzisz. Lataś mi liczył, co? Babką ci byłem, co? Jeszcze takich dziesięciu przeskoczę i w krzyżach mi strzykać nie będzie, jako niejednemu z tych młokosów, com ich na teatrum widział. A może podwiki ku mnie oczyma nie strzygły, co? Mogłeś patrzeć, kiedym ichności panny Marcyannę i Weronikę w jasyr brał, jako się między podwiki wzdychanie wielkie uczyniło, bowiem każda do takiego jasyru aż piszczała. A spytaj imiępana Zarembę, choć niby gładyz, kogo Zosia naprawdę wybrała.

I sapał pan Zagłoba tak, że ledwie mogłem mu wytłómaczyć, jako nie owak jego pytałem, jeno o zdanie takiego statysty o starem stuleciu. Tedy umitygował się pan Zagłoba, zwłaszcza, skorom go statystą nazwał i rzekł:

— Tak mi waść gadaj! A no, to ci zdanie swoje powiem. Miał ci wiek swój początek i koniec (a waść zębów nie szczerz, bo nawet tej prostej sentencji nie rozgryziesz), jako zwierz ma głowę i ogon. Ale głowa do ogona niepodobna i koniec często początkowi nie rówien. Na początku świeciła ci gwiazda wojownika wielkiego, którego zwali Napoleon. Był ci to rycerz znamienity, choć się do naszego pana Stefana Czarnieckiego nie unywał. Alboż to morze koniem przepłynął, jakośmy to czynili? Uczyłem go modą tatarską mameeluków w Egipcie zażywać i hałlakowaniem straszyć. Setny był chłop, choć misterny, jak pan Wołodyjowski i do wina słabą miał głowę. Lubił mnie zawsze przy boku mieć i po każdej batalii pytał: „Cóż, Zagłoba, dobrze!” A ja mu na to: „Nieźle, nieźle!” — odpowiadałem. Zgubił się wreszcie, jako mnie nie we wszystkim słuchał i za bardzo w statystyce przesadził. Zawsze jednak, choć ogniem i mieczem

świat przeszedł, z onych walk srogich a potężnych pokolenie męźnych zostawił i ducha wszędzie rozbudził.

Tu pan Zagłoba wina popił i tak ciągnął dalej:

— Inaczej się ma rzecz z ogonem wieku, gdzie świeciła głównie gwiazda owego pamiętnego Bismarka. Statysta to był wielki, nie neguję, ale przemędrkował i w końcu nawet Bogu pozwy zaczął pisać. Buta krzyżacka wzmogła się. Ale, jakom rzekł, Bismark przemędrkował i jego *imitatores* także. Tedy sobie waść zakonotuj (mówiąc to pan Zagłoba miał twarz całę poważną), że ta pięść, która krzyżacką potestas na nowo zbiła ku utrapieniu innych ludów, ta sama ją rozbije, bo ńska bywa najczęściej kolej losów: czem kto wojuje, ten od tego ginie.

A gdym pytał o nowe stulecie, tedy pan Zagłoba rzekł:

— Co mam prorokować! Będzie deszcz, będzie i pogoda, jako *in Calendario* astrologowie pisują, hołdując przypowieści „na dwoje babka wróżyła.” A czego ma być więcej, czy deszczu, czy pogody, to już od was, mości panowie, zależy. Jenó żał, że już niema takich ludzi, jak Skrzetuscy, Wołodyjowscy, Podbipięta, a choćby i Roch Kowalski, co miał rozum w pięści, ale i wielką miłość w sercu. Tośmy też dziwy wyprawowali i pludrem jako wołem orali, ogonem go włósnym poganiając. Szelmą jestem, jeśli łzę! Niech Roch Kowalski przyświadczy...

Tu jednak spostrzegł się pan Zagłoba i ryknął wielkim głosem:

— Niema Rocha. Niema pana Michała!...

I zalał się łzami, które ciurkiem do szklenicy spływać zaczęły.

Maż znamienity, spostrzegłszy to, odsunął szklenicę i rzekł jeno z westchnieniem:

— Całkiem już teraz w onem winie sama woda!...

II.

Jako pan Zagłoba na zapusty został i rekołeksye potem odprawował.

Wyrzekał pan Zagłoba, że go znów w Warszawie niewdzięcznością (*scelicet*: wodą) nakarmiono i zarzekał się, jako otrząśnie „proch z sandałów swoich”—wszelako na zapusty ostał, jeno—jako sam *sub figura* powiadał—„małym komunikiem w lasy zapadł,” co znaczy, iż z pod wiechy cale nie wyzierał, w godnej kompanii wczasu słodkiego zażywając i przez szklenicę sprawy tego świata obserwując. A jako powiada mędrzec pewien: *in vino veritas*, przeto i u pana Zagłoby, jako oka na okraszonym barszczu, prawda po wierzchu miodu pływała i przez usta się wylewała.

Właśnie pan Zagłoba nowy gąsior postawić był kazał i mrugając zdrowem okiem, tak prawić zaczął:

— Nie tajno pewnie waszmości, jakom w Galacie był umęczon, żem to tureckie zapusty nadto skrupulatnie obserwował i w ramazan, który u tych pogan wielkiem jest świętem, z tamtejszemi podwi-

kami (w szarawarach chadzają niebożęta) w komitywę wchodził. Sułtanka Zulejka, która mnie nowym sułtanem mieć chciała, starego po gardle jata-ganem przejechała obiecując (takie to owe tureckie białogłowy zawzięte!), *per invidiam* potem w ręce oprawców mnie oddała, że się ledwie z życiem uszedł. Szelmą jestem, jeśli lżę!...

Tu pan Zagłoba popił, a potem rzekł:

— A waszmość nie myśl sobie byle czego.. Sądziś może, że w piętękę gonię i w polę jegomości wiodę? Otóż nie! *Per analogiam* tureckie zapusty przypominają tureckiego świętego, a ztąd... tuż, tuż widać i wasze warszawskie zapusty. Może nie? Taniec tureckich świętych i podrygiwanie, (uczciwszy uszy!) goleni... Nie tak *in illo tempore* bywało! *Fuit Ilion, fuimus Troes*. Były fortuny, była i zabawa, może nawet za dużo zabawy, ale inne były czasy. Zresztą pan bawił się po pańsku, a chudopacholek po chudopacholsku. Dziś—każdy pan: „zastaw się—postaw się,” „hoc na ulicy, choć bieda w kamienicy.”

Znów odsapnął pan Zagłoba i tak mówił:

— Waszmość wiesz, żem wstrzemięźliwości i modestyi zawsze przykładem świecił. Przypominać też nie potrzebuję, jakom pana Wołodyjowskiego do chlewika na chleb i wodę wsadzić musiał, gdy się Bohunowi na weselu chłopskiem ogarnąć pozwolił. A mało to Sapiowi nakładłem, gdy sprawę z Carolusem *inter poculis* sromotnie pokpił? Ale też miarę znał i pana Czarnieckiego również plan-towałem, gdy nas jeno kulbaką i szwedziną tygodniami karmił. Człek wytchnienia i uciechy godziwej, jako słonka potrzebuje, bo szczeźłyby z krete-sem bez tego. Ale czy wy to się bawić umiecie? Dawniej co innego! Były dziewczki urodziwe i chłopcy na schwał! Taki, co działo rychtował i pannę

rzesistą w tańcu obrócić umiał, a gdy bachmata tureckiego śmiałą ręką prowadził, to i białogłowie na pasku wodzić nie dał. A one kuligi huczne, a owe tańce skoczne, owe polonezy posuwiste, one drabanty dworskie—albo to je znacie? Przy zabawie i zdrowiu człek się elokwencyą w oracyi popisać mógł i poetyką w tańcu zabawie. Modestya mówić mi nie pozwala, alem w młodości jako poeta słynał i jako on pisarz rzymski mógłbym o sobie powiedzieć: *Quem referent Musae, vivet...*

Pan Zagłoba siwego węża musnął i dalej prawił:

— Pomnę raz, jako się pan Podbipięta (świeć Panie nad jego duszą!) zżymał, gdym w krakowiaku Hanusi Borzobohatej zaśpiewał:

Wždy ma Kasia Jasia,
Jak cybant u kufra,
Wolejbyś ty chciała
Mieć, Kasiu, Onufra.

A to było *ex tempore, stante pede*, nie tak, jak dzisiejsze gryzmoły robią, co arkusze całe doma kreślą i przekreślają... Dziś wy się miast bawić, najczęściej nudzicie, zbytek za zabawę poczytując. A zbytek to zguba; przyszedł on później i krzywdy dotąd czyni. Tego się strzeżcie, miarę we wszystkim właściwą utrzymując: wedle stawu grobla... Ale cóż! Są ci u was tacy, co przed zbytkiem ostrzegają, ale nie masz takich, którzyby świecili przykładem modestyi oraz wstrzemięźliwości, a pracy *exemplum* dawali. Nie masz u was Zagłoby, nie masz!...

Tu pan Zagłoba coraz bardziej w melankolię wpadał (w gąsiorku okrutnie ubywało) i rozrzewniać

się zaczął... Zalał się tedy łzami, ręką szklenicę od wypadku osłaniając, i nagle inspiracją zdjęty, wołał wielkim głosem, jako on Skarga piorunowładny:

— Precz zbytek, któren jest ojcem zguby!... Precz one manele, złotogławia, dyftyki, precz stroje zamorskie i frykasy zamorskie... Weźcie ode mnie (tu pan Zagłoba zlekka gąsiorek przysunął) te małmazye słodkie, wina hetmańskie, miody kasztelańskie... Weźcie, niechaj ich moje oczy nie widzą!...

Słuchałem onych słów w skupieniu wielkiem, jako wieszcz, by Pytyi, a pacholiki służebne stawały z rozdziawionemi gębami. Jeden zasie, ile że był w gorącej wodzie kąpany, skoczył i gąsiorek umknąć zamierzał.

Pan Zagłoba zdumiał się sile swych słów i tej zuchwałości... Osowiałe tedy oczy wytrzeszczył, gąsiorek jedną ręką ułapił, a drugą pacholika — w ucho!...

— Nie rusz! *Noli tangere cir... circolus meos*, jako rzekł pewien mędrzec grecki...

— Przecież waszmość mówili... — submitował się pacholik.

— Głupiś! To było *figuraliter*... Zresztą, albo ty chامية rozumiesz...

Tu machnął pan Zagłoba ręką i westchnął wśród łez potoku:

— Ot, nikt mnie dziś nie rozumie...

Nadszedł Popielec, nastał post, a pan Zagłoba, snadź folgując swej melankolii, zniknął, jakby kamieniem w wodę rzucił, albo li kamforę w słoiku bez osłonięcia zostawił. Po próżnicym jeno od wiechy pod wiechę chadzał — nigdzie go naleźć nie

mógł. Aż dziw mnie zdjął, a potem i lęk jakowys ogarnał, czyli się cokolwiek znamienitemu mężowi nie przygodziło, alboli czy z umiarkowania i wstrze-mięźliwości nie zachorzał. Aliści pacholik pewien, widząc moje zafrasowanie, dokumentnie mnie objaśnił.

— Pan Zagłoba (powiada) doma siedzi na re-kolekcyach, z myślami swemi przestając, u nas za-sie (powiada) noga jego od czasu postu nie postąpiła, jeno...

— Jeno co?

Ale pacholik snadź się zachłysnął, bo, lękliwie oczyma łysnąwszy, zamilkł, a potem zgoła *fugam dedit*.

Tylem go i widział.

W skupieniu tedy wielkiem, *cum pietate*, do drzwi pustelni pana Zagłoby zapukałem, bom jako dżdżu słów jego mądrych był spragnion, a *diferantiam* mu uczynić i myśli zbożne rozproszyć się obawiałem.

Alem się zmógł i klamki ruszył, ile żem westchnienia ciężkie (aż bulgotało) z izby słyszał.

Pan Zagłoba zaraz coś ze stołu pod ławę *cellerrime* umknął i głowę smętnie zwiesiwszy, grobowo mnie powitał:

— *Memento mori!*...

Ochapiało mi się, że owo „coś” było szkło jakoweś, alem się grzesznej myśli opędził. Jakoż dobrze uczynilem, albowiem sam pan Zagłoba wkrótce potem mnie objaśnił, że był to słoik ze śledzia-mi *marinatis cum majeranko*, których achtelik, godny i znamienity mąż na post sobie przygotował. Tak też i być musiało.

Pan Zagłoba siedział na ławie, w świetle jednego okna, które go w białe, niby kamedulskie blaski oprawiało, a snadź rozmyślaniem i samotnością był rozmarzon, bo głosem żalonym tak mi prawił:

— Siadaj waszmość i rozmyślania moje podziel, jako wszystko *pulvis est et vanitas vanitatum...* Zawszem do życia *in eremo* inklinacyę miał i do klasztoru ciągnął. Nie tajno też waszmości, jako *in Monte regio* na Bielanach u Kamedułów byłem, ale mnie ztamtąd pan Wołodyjowski fortelem i przemocą uwiózł. Zawsze to wicher był i podwikarz, żem go na sznurze trzymać musiał. Do celibatu nie mogłem go skłonić, taki to chłop do *matrimonium* był łasy. Ledwie się sam ustrzegł, w komitywie z nim przestając. Ale wytrwał w godnym stanie i chociaż znów zapusty minęły, po Popielcu mogłyby mi pacholeta uczciwie klocek przypiąć. *Liber sum* i pewnie to lepiej, niżbym jakowejś Ksantypie za przypiecek do garnków miał służyć. A że znów z wiosną człek cyrulika wołać i krwie upuścić sobie musi, a teraz czasu postu batożkiem plecy orze, no, to trudno!... *Memento mori!*

Tu smętnie głowę zwiesił pan Zagłoba na pierś i rzekł:

— Com to powiadał? Aha!... Wokacyę do eremu tom od młodości czuł zaraz, ale dość surowej reguły nie mógł naleźć. U Kapucynów też byłem, ale mi broda rosnać nie chciała, a zaś u Kartuzów w trumnie tom na takiego gładysza wyglądał, że raczej obraz życia niżli śmierci imaginowałem, świeckie wspomnienia na myśl tylko przywodząc. Ano, nie moja wina!

Próbowałem też fratrów sztuki krzyżowej uczyć, ale mnie zakrzyczano. Głównie zaś mio... chciałem rzec: wody uczciwej nie mieli.

Tu spojrział surowo ku mnie pan Zagłoba i rzekł:

— Mów mi waść: konfrater Onufer!

I gdym przytaknął, znów prawil:

— Bom ci jest! Patrz, jako *in eremo* siedzę, śledzie z achtelika spożywając i wodą ze dzbana pragnienie gasząc. Słyszysz waść: wodą!.. Brr!...

I znów spojrział bystro mąż znamienity ku mnie.

— Powiedziałem „brr.” i nie cofam! A waść nie myśl byle czego! Człek do wody uczciwej przywykł, wody źródlanej i jako zdroje kastalskie czystej, a waszą z aquaduktów warszawskich jeno kozy, beczące żałośliwie, pijać mogą... Tom chciał rzec!...

A wspomniawszy o wodzie, całkiem sposepniał pan Zagłoba i z twarzą wielce poważną zdał się już jeno ze swemi myślami rozmawiać.

— Tak, tak... Wodę upamiętania pijać, bar-kijarzem pracy obarczać, głowę popiołem rozwagi posypać, we włosienicy twardych myśli chadzać—żali ci nie przystało człowiecze? Były zapusty huczne, oj były, a potem nastał post, jako to kolej rzeczy bywa. Tedy zważ, czy nie lepiej, ażebyś się sam rozmyślaniami prał i pracą krwawił, niż iżby ci plecy batożkiem orano, ile że i tak bywa... Nie uchylaj się tedy od rekolekcyj, ani na umartwienia nie narzekaj, jeno ich należycie użyj, jeśli chcesz godnie Wielkiejnocy doczekać. Zali mnie waść rozumiesz? Pokuta, pokuta i pokuta... Kto wody żółcią zaprawnej kosztował, temu słodszy potem miód będzie...

I, jakby się zbudziwszy, zapytał pan Zagłoba:

— He?... Kto tu mówi o miodzie?... *Apage satanos!*...

A potem już całkiem zbudzony mówił:

— *Memento mori!*... Ot co!... Tedy waszmość już idź, bowiem zbliża się pora, w której dyscypliną grzeszne ciało porę, a nie przystoi nagość swoją waści okazywać. Na śledzia zasię i na wodę waści nie proszę.

Tu spojrział pan Zagłoba pod ławę, a jam wielce zbudowany wyszedł. Na schodach jenom sły-
szał wciąż ciężkie westchnienia (aż bulgotało).

III.

*Jako pana Zagłobę do reszty niewdzięcznością i wodą
chciano napoić.*

Owego czasu rozeszła się wieść, jakoby źródło słonej wody chciano ochrzcić od imienia znamienitego męża. Łacno odgadnąć, jaką goryczą musiało być napełnione serce onego Brutusa.

...Zastałem tedy pana Zagłobę w izbie, w alteracyi wielkiej. Chodził, utykając z kąta w kąt, pięścią się w piersi grzmotał, karabeli u boku szukał i w końcu zydel nogą kopnął, aż się rozleciał w trzaski. Ujrzawszy mnie, stanął pan Zagłoba i krzyknął:

— Dlaboga, mości panowie, *veto.* nie pozwalam!...

A potem odsapnąwszy znów:

— Bij, kto w Boga wierzy!

A że mnie strach zdjął, jako poeta rzymski mó-

wi: *gelidus tremor per ossa cucurrit...* Takem też stał, jeno ku uspokojeniu powtarzając:

— Jegomość, jegomość!... Miejże upamiętanie, ile że o przygodę nie trudno, zwłaszcza w waszmościnyh leciech...

Alem się wczas opamiętał i wraz dodałem:

— ...dojrzałych, jak winne grona.

Tem ci się salwowałem.

Pan Zagłoba umitygował się nagle i zawołał z resztką już gniewu:

— Napijmy się!

Napiliśmy się godziwie, a pan Zagłoba nastroił się smętnie i rzekł:

— Czemu mi despekt czynicie?... Ażalim Rzeczypospolitej uczciwie nie służył? Ażalim Burlaja nie usiekl? sztandarów nie brał? nie hetmanił? statystów rozumu nie uczył, a mimo to modestyi i umiarkowania przykładów nie dawał?...

Tu spojrział pan Zagłoba pod światło w skleńnicę i mruknął:

— Paskudne tutaj macie wińsko!

I tak dalej mówił:

— Com chciał rzec? Aha... Niewdzięcznością mnie napojono i siwej głowy nie uszanowano. Bo rozważ sobie waszmość dokumentnie: Pan Bóg różnym nacyom różne dał przyrodzenia: Są tedy, które tylko piją wodę i te dzikiemi, *nationes barbarae*, się zowią; są, które piją kwaśne piwsko i te najbliżej onych stoją, dzikością obyczaju i *crudelitate* się odznaczając. Tych *Niemcami* zowią, jako że na wino niby nie mają. Są, które piją gorzałkę, i te chłopstwem, alboli pospółstwem się zowią; są nakońc, które wino i miód nad wszystko przenoszą, a te miłują prawdę, jako „*in vino veritas*”, są

bitne, a mimo to w pokoju słodkie, jako miód przestały.

Tu poruszył się niespokojnie pan Zagłoba na zydłu i rzekł do pacholika:

— A zobacz-no, ażali tam gdzie miodu nie najdziesz?...

Tymczasem zaś upił wina ze szklenicy i rzekł z obrzydzeniem:

— Paskudztwo!...

Potem znów tak prawił:

— Wiadomo waści, jakom zacności narodu despektu nigdy nie czynił i miód *cum vino* jedynie pijał. Umiarkowaniam zawsze przykładem świecił, alem też i natury nie gwałcił. A owóż rzekł pewien mędrzec: „*Natura vacuum abhorret*”, a nie dodał „*aquam*”, ile że to całkiem samo z siebie przychodzi. Tedy i ja próżnego naczynia w życiu nie znosił, a wody (tu wstrząsnął się pan Zagłoba) nawet w butach cierpieć nie mogłem. I oto, co mi czynicie?...

Otworzywszy zasie szluzę łzom, tak wołał wśród westchnień zawiesistych:

— Napojono mnie niewdzięcznością!... Żeby tylko niewdzięcznością, ale—*horribile dictu*—wodą!... I nie kielichem, nie szklenicą, nie dzbanem, ale — źródłem... Przebóg! cóżem wam zawinił? Fons „Zagłoba” i źródłana woda!!

I ryknął wielkim głosem mąż znamienity:

— Tatarzyn, i ten ci, taki kozi syn, miał dla mnie kobyle mleko, a wy mnie kwaśną wodą poicie? Tfy, gęsiom takie specyały dawać!... Takaż to wdzięczność, mości panowie! takaż zapłata dla zasługi? takież poszanowanie siwego włosa? Niewdzięczny narodzie!...

Zasępił się pan Zagłoba, aż nagle zerwał się, jak żubr rozhukany, jak żbik raniony i wrzasnął na całą izbę:

— *Veto!* Bij, kto w Boga wierzy!

IV.

Jako pan Zagłoba o kotach w marcu prawić.

Zbyła się ziemia śniegu, który już jeno w brzdach i szczelinach leżał, a jakoś okiem ogarnął, widać było czarną glebę, tłustą i połyskującą, a wilgocią nabrzmiałą. Szły też pierwsze pługi na rolę i lemieszem ją lśniącym krajały.

Szarość na świecie była jeszcze wielka, ale jużci i mietliska drzew pęczniały, zlekka różowiejąc, a kiedy się błękit odsłonił, to ci go wszędzie było pełno, i w strudze, i w kałużach, jakobyś pole i bruzdy w modre oka ustroił.

Pojrzał tedy przez okno pan Zagłoba i rzekł:
— Ku wiosnie się ma! Owóz i słonko rychlej wschodzi i później zachodzi, kołem się wyższem po niebie wspinając i wiatr nie taki mroźny w polu dmucha. Aliści marcowi zbytnio nie ufaj. Miesiąc to ladajaki, bowiem cię perfidyą łacno ugodzi. Raz ci modrakiem z nieba lysznie, prymulkę z ziemi wywabi, i już mówisz rad sobie: „*ver appropinquat!*...” Aliści zaraz ci śniegiem w pysk utnie, albo deszczówki za kołnierz cebrzyk wyleje... Nie darmo powiadają: „W marcu, jak w garncu”: i krupy i sadła — i uczciwszy uszy—woda. Czysta abominacya!...

Tu zgłuszył pan Zagłoba miodem abominację, którą w nim marzec i krupy (a może woda) wzbudziły i tak, otarłszy wąsy, prawil:

— Zgoła miód musować poczyna, *ergo* i w loszku cieplej. Godzi się tedy pasiekę opatrzyć i oczyścić, aby mucha do pracy poczciwej była gotowa. Zaiste! ażali jest godniejsze stworzenie Boskie, któreby człowiekowi jako *exemplum* służyć mogło? Bo to i pracowite i miodem żywie... Tedy m je *semper* naśladował, umiarkowania w pracowitości... chciałem rzec: pracowitości i umiarkowania przykład innym dając, a miodem jako darem Bożym nie gardząc.

Zadumał się pan Zagłoba nad onemi дарami Bożemi, pasa jeno—że to czas postu—na brzuchu podciągając i myśli polityczne dalej snując:

— Jest ci i napój podlejszy, piwem zwany. Ten ci dobry jest do popłukania gęby po mięsie, zrazach z kaszą, albolii świninie.

Pokuso przepadnij!... *Apage satanas!*.. Lecz jako między pospolitaki mąż się godniejszy zamieszka, tak ci i z piw marcowe najprzedniejsze, dwuraznem albo krakowskiem zwane. Tem sobie podpic statecznie można. A takci i miesiąc marzec, choć ladajaki na ogół, zasługi *coram humanitate* ma. Starożytni zwali go *mensis Martii*, bożkowi go komuników rycerskich poświęcając, pogańscy zaś pra-ojcowie nasi, nim światło prawdziwe poznali, boginię Marzanę, niby Ceresę słowiańską, w nim czcili. Byłci zasie u nas ten miesiąc zawsze i rycerskim i rolniczym, bo to i na Dzikich polach trawy się pierwsze puszczały i szlaki poosychały, pohańcom drogę otwierając, a wedle sadyb ludzkich pługi na rolę szły smugiem.

Popił pan Zagłoba, myśli głębokie rosą miodną skrapiając, i tak *summa cum sapientia* rozważał:

— Owóż jest ci on marzec zgoła dla rycerzy niebezpieczny. *Exemplum* Zagłoba, który mimo postu i biczowań, mimo włosienicy i wstrzemięźliwości mniszej (bom do zakonu zawsze wokacyę miał), krwie sobie już w marcu upuszczać musi, żeby mu się pryski *in corpore*, jako pąki na młodej wierzbince nie ugniły... *Exemplum* pan Michał (świeć Panie nad jego duszą!), który w marcu najbardziej wąsikami ruszał, niby żuk majowy, z nogi na nogę przestępował i byle miotłę miłować chciał, nim Basię za żonę pojął... *Exemplum* pan Longinus. .

Tu rozmyślenia panu Zagłobie przerwał rozgłośny wrzask i zawodzenie, które się na strzesze wedle komina uczyniły. Uśmiechnął się rycerz znamięnity i rzekł:

— Owóż i kociur i hałlakowaniem się bawi, a kotka go beczaniem nadobnem wabi. A tak ci i nierozumne bestye *ver appropinquans* czują i wedle swego obyczaju zwiastują, głosy wrzaskliwe wydając. Toż i pan Michał, gdy go afekta zmogły, je-no patrzeć, rychłoby jak kur zapiał, albo jako kociur wrzasnął... Ale też szelmy beczą, jakoby je ze skóry darł!...

I *paulatim* odpocząwszy, pan Zagłoba ciągnął:

— A że się koty w marcu drą, tedy o tem taka jest gadka. Kiedy Pan Bóg stwarzał świat, tedy przyszły wszystkie miesiące i rzekły: Każdy z nas, jakośmy szlachta jedna, ma swoje barwy, każdy ma swoje *aroma*, dajże nam, Panie, zawołanie i hasło, abyśmy się z sobą nie skłóciły. Tedy Pan Bóg rozdzielił herby i zawołania, a uczynił to tak: kwietniowi dał klekot bociani i skowronka z bruzdy; majowi słowika i kukułkę; czerwcowi kapelę żabią i bąki; lipcowi najśłodszą muzykę pszczelną w rozło-



żystej lipie, co jako arfa eolowa brzęczy; sierpniowi—przepiórkę; październikowi poświst wiatru; listopadowi kawki i wrony, a grudniowi, styczniowi i lutemu, że to gromadą chodzą, surmy boreaszowe i wycie wilków. Jeden ci marzec pozostał i pytał ciągle:

— A ja co dostanę?

Spojrzał nań Stwórca i rzekł:

— Z waszmością bieda, boś ni pies, ni wydra, ni to już zima, ni to jeszcze wiosna. Perfidyis pełen, raz chuchasz, drugi raz dmuchasz, a kota ognem zawsze obracasz. Tedy ci kota do herbu dam, jako to zwierzę fałszywe...

Tak ci one koty marcowe do herbu się dostały i hałas w marcu czynią.

Popił pan Zagłoba i, nasłuchując, zawołał:

— Ale też łajdaki beczą!... Bodaj was poskręcało!...

V.

Jako pan Zagłoba na Zwiastowanie o bocianach radził.

Na Zwiastowanie, jako to zwykle bywa, przyleciały bociany. Ano, wiosna jakoś zamarudziła tego roku, tedy jeden-drugi taki Maciek usiadł sobie żałośliwy na mazowieckiem gnieździe i zadumał się, ile że i zimno i głodno, i troska niemała, bo to, powiadają, strzelać teraz bociany będą. Jakoś mi się owo strzelanie dziwnem wydało i racye nie nadzwyczajne.

czajne, więc powiedziałem sobie: Pójdę pytać pana Zagłoby (który od owych swoich swatów pod przewiskiem Łykaj beja wciąż ino w Warszawie siedział, a już z serc naszych nigdy nie wychodził), co o tem prześladowaniu bocianów myśli i jakie jest jego zdanie.

Jakom rzekł, takem uczynił.

Zastałem ci pana Zagłobę na kwaterze zgoła przy dziwnem zajęciu. *Miracula vidi!*

Wiadomo, że pan Zagłoba naczyń pustych nie znosi, podobnie, jak przyrodzenie, *quod vacuum abhorret*. Owóż znamienity mąż butel pusty dzierzył, od okna się z nim odwracał, twarz miłośnie do szkła przytykał i palcem coś wedle nosa majstrował.

Obstupui!

Obaczywszy mnie, rzekł:

— Pójdźno waszmość i obacz, jako się nie mylę. Co to jest?—tu palcem około nosa wskazał.

— Nos!—rzekłem *stante pede*.

— Nie o to pytam—powiedział pan Zagłoba—ale tu, wedle... Patrzaj waszmość uważnie.

Spojrzałem pilnie i rzekłem z małym wahaniem:

— Pryszcz!...

— Aha! widzisz maszmość!—zawołał mąż znamienity radośnie.—Tedy nie myliłem się!

A zwracając się znów ku mnie, zapytał:

— A co zaszcz jest pryszcz?

— Ano pryszcz! — odpowiedziałem, całe zdumiony i pytaniem i zachowaniem się znamienitego męża.

— Co wiedział, to powiedział! — mruknął pogardliwie pan Zagłoba i dodał: — Ale choć waści szpakami nie karmiono, tedy powiedz, z czego bywa pryszcz?

— Z mio... — zacząłem, ale nie dokończyłem, bowiem pan Zagłoba butlem, który mu za zwierciadełko służył, o ziemię grzmotnął, zdrowem okiem ku mnie łypnął (aż mnie zmroziło) i rzekł surowo ale *summa cum dignitate*:

— Umiarkowaniom zawsze przykładem świecił, tedy mnie złe języki tyle, co ten pusty gąsiorek obchodzą. Ale owoż pijanicę poznasz łącno po przymówce. Waszmość *accuratissime* się przymówiłeś, a że jesteś u mnie w gościnie, tedy wstrzemięźliwości przyrodzonej zaniecham i kompanią, jeśli wola, służyć będę.

A potem do pacholika krzyknął:

— Miodu... a żywo! To zasie paskudztwo (tu na szklisko rozbite wskazał) duchem zamieść, aby oczu nie mierzilo.

I poprawiwszy się na zydlu, a mnie drugi wskazawszy, tak mówił:

— Owóż, jakoś się waszmość *ad oculos* przekonał, przszcz mi się wedle nosa wyrzucił. Niby to nic, ale z tego naukę wyciągnąć można głęboką. Pryszczeli się waszmości nos?

— Nie!—rzekłem frasobliwie.

— Boś pijanica, jako wszystkie gryzipiórki, i w niecnocie chadzasz. A mnie, choć mam lat... Ano, z waszmością zrękówin sprawiać nie będziemy. W ręce waszmości!

— W nieomyłne!

I przepiliśmy miodu.

— Com tedy chciał rzec?—prawił pan Zagłoba. — Owoż na wiosnę przyskają młode drzewa najłacniej, a młoda i ostra krew także pryski daje. Tedy konkluduj waszmość: mądrej głowie, dość dwie słowie...

Tu spojrział tryumfalnie na mnie pan Zagłoba i kontyunował skromnie:

— W modesty i czystości żywot pędziłem, upały pana Longinusa próżno hamując, a tedy się waszmość nie dziw. Jakoż, co wiosna pryszcze mi się, jako młode wierzbowe pędy, wyrzucają, a cyrułik ze mnie krew ostrą gąsiorkami upuszczać musi.

Wspomniawszy gąsiorek, pan Zagłoba miodu *de noviter* nalał i znów przepił.

— Niewiasty żonę pojąć mi radzą (nie jedna, jako wiem dokumentnie, do jasyru takiego słodkiego wzdycha) i już ja sam nad tem rozmyślałem, ale one mazowieckie dziewczki dzisiaj do niczego; na gębie to blade, niby butel pusty (szkaradzieństwo!), w pasie, jak patyk, rześistości zgoła żadnej, abominacya mnie zdjęła. Tedy w czystości żywota dokonać postanowiłem i do ojców Kamedułów wstąpię, jakom już u nich nowicyat odbył, jeno mnie pan Wołodyjowski fortelem wykradł.

— Na Zielone Świątki i ja na Bielany jadę— wtrąciłem.

— Ano, to i dobrze! — rzekł pan Zagłoba. — Milej jest zawsze w kompanii godnej wypić... chciałem rzec, do zakonu wstąpić. A że sztuką wiosenne humory, jako żuki sprośne kásają, to trudno: batożkami ciało częściej zato prać sobie będę.

Tu pan Zagłoba westchnął, ze szklenicy pociągnął i rzekł:

— Zawszeć ta wiosna, jako miód wystaly słodka!

Zdało mi się, iż momentum było odpowiednie, tedy zaczął:

— Bociany...

Ledwiem rzekł, aliści pan Zagłoba uczynił się

z wielkiej alteracyi cały czerwony, jeno mu chore oko i dziura w czole bielaly. Huknął pięścią w stół, aż gąsior podskoczył (jużeśmy mu ulżyli) i szklenice zadzwięczały.

Brzęk szkła umitygował znamienitego męża.

Pan Zagłoba spojrział niespokojnie, ażali się miodu nie ulało, marnować bowiem darów Bożych nie lubił, i wołał zalterowany:

— Bodaj waści język skołowaciał! Bodaj waści zabito! Owo, Bóg strzegł, nie stało się nieszczęścia, gąsior szwanku nie poniósł. Ale łącno stać się to mogło. Co mi waść z bocianami wyjeżdżasz? Gdybym jeno chciał, mógłbym w nie, biedne niebożęta, jak w woły orać, ażby piszczczały z ciężkiej pracy!... Bocianówby *in universo* nie starczyło!... A co złe języki mówią, jakobym w Galacie palmę męczeństwa poniósł, to lżą szelmy, jak psy!... Szelmą jestem, jeśli lżę. W Galacie jeno z pewnym baszą, który bratem mi być chciał, a jego sułtanka przeciw siostrzeństwu się oponowała, zatargi miałem i kuf...

Tu spojrział podejrzliwie pan Zagłoba i rzekł surowo:

— He!... Kto o kuflu mówi? Jeśli zasie mówi, to lże, jako ostatni szelma! Z rusznicy mnie, kozi syn, ustrzelił i owo ztąd ta dziura w czele, jakom Onufer Zagłoba, herbu Wczele. Waść zasie byle czego nie powiadaj, bo jeszcze do korda sięgnąć umiem, a i sprawić się krzyżową sztuką mogę.

Ledwiem znamienitemu mężowi wytłómaczył, jako chciałem zasięgnąć jego rady i zapytać, co sądzi o tępieniu bocianów. Usłyszawszy to, umitygował się pan Zagłoba i rorzewnił nad niebożętami (ile że w gąsiorku dno już było widać), a otarłszy wąsy z łez (może z miodu), tak prawił:

— Niebożęta Maćki, na toż im przyszło!... Żle, źle się dzieje, mości panowie. Bocian i jego gniazdo ongi herbem wsi i ziemi, tudzież znakiem pokoju były. Palił Tatarzyn i zapuszczał zagony, Szwed burzył, Bisurman i wszelki skórczybyk hałasowali, a póki gniazda były — były i siedziby ludzkie. Nieraz leżały ci zgliszcza, a na nich sterczały osmalone gniazda i popalone bocianięta. Toż była prawdziwa dopiero pustka! Człek po napadzie, po inkursyi, po zniszczeniu czekał bociana, jak zbawienia, bo mu ten ptak zwiastował i wiosnę i odrodzenie. Powiadają, jako ojcowie nasi przez bociany z Indyami się znosili. Pewien szlachcic z krotofili wziął ci boćka i skowawszy mu nogę, napisał na obrączce żelaznej: *Haec ciconia est ex Polonia*. Na drugi rok patrzy, a jego bociek powraca, jeno mu się na nodze coś okrutnie świeci. Wzięto znów boćka, a tu obrączka złota i napis: *India cum donis mittit ciconiam Polonis*. Tak to bocian, jako *legatus*, aż do dalekich Indyów latał, a tamci go nie zabili, chociaż to barbari. A że tam nawet bocian jakiego małego zajączka przelknie, a bocianica kuropatwę złapie, to zwierzyna mniej na tem straci, aniżeli od szkodników ludzkich, od nierozumego zbytku polowań i od tej gospodarki terażniejszej, co to na dziś się ledwie ogląda, na jutro nie patrzy, a pojutrze na psy jedzie. Tak, na marne wszystko idzie, mości panowie! Ale bocian to także czyściciel wszelakiego paskudztwa, i jako alegorya tępicielela złych obyczajów służył, a takich my nie lubimy. Oj, nie lubimy!

Tu pan Zagłoba całkiem się już rozrzewnił i, smętnie głowę zwiesiwszy, mówił:

Był ci i Zagłoba takim tępicielem, takim bocianem: Sapieże dzbana unykał, umiarkowania go ucząc, Zamoyskiego Sobiepana do zakonu namawiał,

pokusy mu doczesne z drogi usuwając; Longinusa czystości uczył, i czego się doczekał? Ustrzelono go, jak bociana, i napojono piołunem... Stokroć gorzej, bo — *horribile dictu!* — chciano go poić wodą!... A przecie bocianięta, chociaż po błotach chadzają, wolą żaby, aniżeli wodę... Prawda i to, że od wody żaby się w brzuchu lęgną, alem ja bocian ludzki, *castigator mores!*...

Westchnął ciężko pan Zagłoba, od gąsiorzka pustego z abominacją się odwrócił i mruknął:

— Biedne niebożęta bociany! Niewdzięczność dla bocianów i niewdzięczność dla Zagłoby! Niewdzięczny narodzie!

VI.

Przypowieść pana Zagłoby o kusym i o wierzbie.

Poweselał pan Zagłoba, ile że mu nie tyle kwiaty i zioła (na które krowy i *poetae* z uciechą patrzą), co kielbasy wielkocne zapachniały i, poprawiając pasa na obcisłym brzuchu, rzekł:

— Ano, jużci i kwiecień, godny miesiąc, który z palmą w kwietnią niedzielę do nas idzie i Wielki dzień zwiastuje. Tedy na Rusi wierzbowemi gałązkami się biją i powiadają:

Nie ja biju,
Wiera bije,
Za tydzień,
Węlyk dzień!

A zaś w palmie wierzba z białemi kotkami króluje, które przeciw bólom gardła łykać się godzi, miodem przystojnie popłókując. Nie masz przedniejszego *medicamentum* niż owo!

Poruszył się niespokojnie pan Zagłoba, na szklenicę oczyma łypnął i po gardle się pomacał:

— Zdaje się, jakoby mnie tu coś niepoczciwego lechtało...

Jakoż, nie mieszkając, kotek parę połknął i miodem dokumentnie pokropił, a westchnąwszy — z ulgą rzekł:

— Zaraz, jakoby kto ręką odjął. *Probatum est!*.. Com tedy chciał mówić?.. Aha!.. Owóż wierzba pierwsza się w kotki stroi i do palmy gałązki daje. Mizerne to drzewa, niby wróbel między innemi, a na mazurskich piaskach i wedle onej Wisły bez miary się pleni. Umiłował zaś ją Pan Jezus, skoro do palmy dla siebie przypuścił, a jest ci o tem taka gadka:

Onego czasu w Ogrójcu oliwnym była i wierzbinka licha, z której żołdactwo rzymskie i pospólstwo żydowskie różgi brało do biczowania króla Nazareńskiego. Płakało z tego powodu niewinne drzewo, że to jest narzędziem kaźni dla Zbawiciela, ale pomólcz nic nie mogło. Odtąd zaś rozmiłował się w niem dyabeł i ciągle chodził do wierzby w zaloty. Wierzba schła, marniała, a kusy jeszcze się bardziej w amory puszczał, tak, że nawet z tego *proverbium* powstało: „kocha się, jak dyabeł w suchej wierzbie“.

Skarżyła się wierzba Panu Jezusowi, a Ten, choć winy jej dawno przebaczył, powiada:

— Juści łaski swej nie odmówię, jeno mi kusego tego wypierz!

Zakarbowała to sobie wierzba w pamięci i czekała tylko okazji.

Raz — a było to ku wiosnie — poszedł znowu kusy w zaloty. Chodził ci on zaszkie: to jako chłop Rokita, to jako szlachcic Boruta, to jako zgoła niemiecka pokraka w pluderkach. Teraz zaszkie przemienił się w kota, oczyma zielonemi świeci, kark wygina, ogon ku górze pręży i drze się, niby w marcu. Wlazł w dziuplę wierzby i powiada:

— Miłuję cię, wierzbo, ale mi w gardle zaschło, tedy mi daj pić!..

Takie to owo piekielne tałajstwo szlacheckie gusta miewał!

Tu z obrzydzeniem splunął pan Zagłoba i abominację miodem zapił.

— Wierzba zaszkie, chociaż z pozoru stara, od soków wiosennych pęczniała, co zgoła świadczy, jako i na Zagłobie niejeden pomylić się może. .

Westchnął znów mąż znamienity, krzywdy swoje z goryczą wspominając, i tak dalej prawił:

— Na czem tedy stanąłem?.. Aha!.. Owóż wierzba postanowiła uczynić ofiarę i upuściwszy onego soku, który jest słodki i niby moszcz winny się pieni, rzekła:

— Pij!

— Kot pił, a że umiarkowania, które Zagłoba wszystkim zaleca, nie znał, tedy mu brzuch nad miarę pęczniał. Jużci i kury ranne pić... chciałem rzec: pić zaczęły, gdy bies do otchłani piekielnych fugas chrustas uczynić pragnął. Chce wyskoczyć z dziupli, a tu mu żywot napęczniały przeszkadza. Ani rusz, przepchać się nie może. Wtedy, że to już moce piekielne przystępu nie mają, o świtaniu, jak ci wierzba nie zacznie prać kusego, jak ci nie

zacznie różgami siec, pękami młócić, aż ci kłaki z nieczystego wokoło leciały, a w niebie było sły-chać. Bies wreszcie kadłub opasły przez szparę przecisnął, na wierzbę parsknął, rzucił się na ziemię i jeno się po nim smród smoły i siarki rozszedł.

Wierzba zasię w rannym wietrze gałęziami machała, rosą się srebrzystą stroiła i szeptała sobie radosna:

— Anom kusego spra'a! Ha!..

W niebie śmieli się wszyscy święci, a św. Piotr, klucznik i kanclerz niebieski, że to był zawsze kro-tochwilny, zawołał:

— Kiedy ci wierzba czarnego koczura sprała, tedy jej dać na pamiątkę białe kotki...

Słyszał to Pan Jezus i rzekł:

— Niech się tak stanie!

I owóz z wczesną wiosną nizka wierzba pierw-sza się w kotki stroi, niby dziewucha aryjska w per-ły, albo li godny kwestarz bernardyński w paciorki, i do palmy różgi swoje daje, które, choć nie ze swej woli srodze grzeszyły, tedy powoli moce piekielne uczciwie przetrzepały.

Odpocząwszy raz nieco, tak mąż znamienity konkludował:

— Owóz patrzcie, mości panowie, jako cnota zawsze nagrodę bierze, a nieumiarkowanie—chłostę. Tedy wy, którym już przez Wielki tydzień kiełbasy pachną, a pełne szklenice się śmieją, baczcie, jako-by wam się, jako kusemu, wierzbowemi różgi nie oberwało. Z Zagłoby przykład bierzcie, który spartańską cnotą zawsze świecił i kamedulską wstrzeмиęźliwością się odznaczał. Miareę tedy zawsze chowajcie i zbytków się strzeżcie, ochocie w jedle i opilstwie nadto nie folgując. To wam powiada w kwietnią niedzielę wierzba z palmy i Zagłoba...

Nie wadzi bowiem o wstrzemięźliwości pamiętać przed Wielkanocą...

Sapienti sat!

I setnie ze szklenicy upił pan Zagłoba.

VII.

Jako pan Zagłoba de arte coquendi prawił.

Zamyślił się pan Zagłoba, a jako zawsze w zadumaniu tem niby perły w głębinie morskiej zwykły były mądre słowa, a głębokie sentencje dojrzewać, tedy znamienity mąż rzekł i teraz:

— Jeść mi się chce!..

A upiwszy miodu z kufła, prawił:

— Dziw, jako ten miód przetrawia! A zasie trojniak w tem najlepszy, jeśli go z muszkatelą w miarę mieszać, albo trochę pieprzu dodać. Przyrodzonej słodczy przez to nieco utraci, ale tęgości nabierze i łaknienie sprawia. Ale i dębak dobry, byle czysty. Jeno kopowiec do picia tłusty i nadto syci.

Zadumał się znów pan Zagłoba, a ocknąwszy się, rzekł:

— Com tedy mówił? Aha!.. zjadłbym zraz skopowiny, albo i lepiej świniny.

Pojrzał pan Zagłoba na słońce i westchnął:

— Jeszcze ci słonko od wschodu na południe nie przyszło i *hora canonica* daleko, tedy czas na rozmyślanu spędzę... Owóż powiedział mędrzec pe-

wien: — *Edo ut vivam et non vivo ut edam*. Racya! Ale jeślibym miał żyć, by mnie jeno głodem karmiono, tedy *gratias ago!*..

Jadł ci Zagłoba rozmaicie, a czasem wcale nie jadał, pasa sobie na brzuchu jeno na brzuchu obciągając, że mu i węzełków zabrakło. Bom ci wstrzemięźliwości i zaparcia siebie przykład dawał, Czarnieckiemu nawet wczasy wyrzucając, alem i w poście miarę uchować umiał. Jeśli mnie zbyt długo końską kulbaką, krwią i potem karmiono, tom mówił: *vefo*, mościpanowie! Pokazał Zagłoba, że żyje, kiedy Bohuna usiekl, i Burląja usiekl, i takich synów naćwiartował, więc mu teraz dajcie jeść! Była praca, niech będą wczasy; było ćwiartowanie, niech będą zrazy i kufel do tego! Bowiem, jako on mędrzec powiadam: — Nie warto żyć w takiej ojczyźnie, gdzie podły zgoła wikt dają!..

Odsapnął pan Zagłoba, albowiem go myśl sama o podłym wikcie zalterowała i prawił dalej:

— Owóż w ojczyźnie naszej wikt godziwego nigdy nie brakło, a i miody zacne zawždy bywały. Mógł człek sobie podjeść do syta, a iż mu i przyczyny do utrżęsienia brzucha zgoła nie brakowało, tedy i kopiaste misy szły na zdrowie.

Westchnął pan Zagłoba i rzekł:

— Umieli nasi ojcowie bić się *arte*, jako one rzymskie bohaterzy, ale i jeść umieli i pić nie najgorzej. Miał i Zagłoba rzymskiego ducha, tedy do wybitki i wypitki był pierwszy, a i do miski nie ostatni. Bowiem tylko piecuch i charłak od miski z abominacją się odwraca, a miód mu mdłości sprawia. Kto się zaś napracuje uczciwie, ten łyżkę z za cholewy równie łącno dobywa, jak korda z pochwy. Z czasem i brzucha senatorskiego może do-

stać, a że ono *ornamentum* w niczem uczciwości nie przeszkadza—*egxemplum* ojcowie bernardyni.

Tu z niepokojem pomacał się pan Zagłoba po brzuchu i, podciągając pasa, rzekł:

— Całkiem mi pas opada i robak w żywocie piszczy. Chyba go miodem zaleję.

Tu popił pan Zagłoba i odsapnął.

— Krzyneń mi ulżyło!.. Ale mnie głód całkiem osłabił. Dziw, jak mi zrazy po głowie chodzą... Czemu zrazy?.. Ano, bowiem Opatrzność różnym nacyom różne dała przyrodzenie. Tatarzyn i Zyd otrząsa się na świninę, a ciągnie do baraniny, alboli koziny, jako to niby mięso czyste. Tedy ich kozimi synami słusznie nazywają. Bisurmanin szaszłyk na patyku nad inne pożywienie przekłada, Zydzi zaś przednie szczupaki faszzerowane przyrządzają, szafranu do nich i korzeni nie żałując. Szwed i inny pludrak niemiecki, który Panu Bogu w Kirsze urąga i konia, owo szlachetne zwierze od *Pferd*, jakoby to stworzenie Boskie *pfe* było, wyzywają — do *flaischu* i peklowiny skłonność czuje, piwem je cienkiem podlewając. Owóz jedno niby flaki poślednie przypomina, a drugie zgoła jak podeszew. Tedy i naród to psa wart i od niego tylko obraza Boska płynie. Francuz natomiast frykasy nad wszystko przekłada, sapory długie pitrasi, zieleninę niby krowa jada, wszystko słodzi, a nawet takim plugawstwem nie gardzi, jak żaby i ślimaki.. Ano nie dziw! cienkusz z wodą pija, tedy mu się żaby w brzuchu lęgną, a we łbie świta. *Nationes barbarae*, jako to pisarze podają, gorsze jeszcze rzeczy jadają, jako to węże, robaki, a nawet owe monstra morskie, co je wielorybami zowią. Aż oto abominacya człeka bierze!..

Popił pan Zagłoba, by onę abominacyę zgłuszyć, poczem rzekł:

— Inszym zgoła jest naród rycerski. Ten za-
by i wszelakie ślimaki, a saporzy, a kapusty, a kisz-
ki grochowe innym podlejszym nacyom zostawia,
sam zaś zraz pieczeni nad wszystko przenosi. Pie-
czeń zasie może być i ze zwierzyny, i ze świniny,
i ze skopowiny — byle duża. Może być i kur pie-
czony i ptaszek, i rybka, byle poczcziwie a suto pod-
lana. Sosy winny być zawiesiste i w miarę tłuste,
pospółstwo bowiem tylko, gdy wieprza zabije, oma-
stą i sperką przesadza. I kasza bywa dobra i klu-
ski na głodny żołądek wyśmienite. One zaś sosy
wymyślne, a pozłotki, a potrząski, a malowania,
a słodzenia, a lepienia w lwy, baranki, kwiatuszki
et caetera — licha warte. Ładne to z wierzchu,
a w środku zaprzało i potrawa psu na użytek. In-
sze potrawy znowu po zamorsku przezywają, że
zgoła nie wiesz, żali ci kociura w sosie nie podają.
Tedy ci w uszach aż dźwięczy od owych przezwisk
wymyślnych, język aż kołowacieje od wymawiania,
a w brzuchu czczo albo mdli zgoła. Jużci i piołun
a rumianek na bóle gotuj. Po zrazach zasie, jeśli
w nich pieprzu w miarę użyto, miód szklenicami pić
możesz bez obrazu.

Popił pan Zagłoba i mruknął:

— Na nic mnie rozmyślanie osłabiło i śliny
mi w gębie przybywa. Dziw, jako mi się jeść chce!
Niesytkam zjadł, czy co?.. Chyba już na pacholika
zawołam?..

I zerwawszy się z zydlą, wielkim głosem za-
wołał:

— A dawaj, taki synu, co masz do jedzenia,
byle rychło!..

VIII.

Zielony dzień pana Zagłoby,

— Owóz — rzekł pan Zagłoba — rozzieleniło się, że aż ha! Tedy słusznie powiadają: *dies Pentecostes semper vivere volent*. Tyle ci tej zieleni wszędzie, iż rzekłbyś, ziemia ze słońcem bawi się w zielone. Uhu! w zielone...

Pokręcił węża pan Zagłoba i zanucił nieco przedętym głosem:

Z drzew nazrywam latorośle,
Te Marynie pięknej pośle;
Zielonem niech się zabawi
A niech słuszny zakład stawi!...

A potem, westchnąwszy, dodał:

— Był ci i Zagłoba słońcem i zakłady słuszne brał, a Maryny i Kaśki tak za nim latały, że się opędzić nie mógł... Ale nie godzi się *tempora praeterita* wspominać. Żem zaszę umiarkowania i wstrzeźliwości zawsze przykład dawał, tedy i dziś... Uhu!... zieloność mnie rozebrała...

Machnął jednak ręką pan Zagłoba i rzekł:

— Uczciwie jednak powiedziawszy, wszelka zieleninka psa warta. Nie iżbym zgoła jej pożytek negować miał! *Nunquam!* Zioła przednie kładą do potraw, jako to: bazylikę, tymianek, bobkowe liście, estragon, pory, selery, pietruszkę; są ci zioła wątrobné, zębne, powietrzne i wszelkiej przypadłości pomocne; jest ci i majeranek (dobry do wędzonki) i piołun (cnotliwy w piołunówce) i inne zioła i trawki foremne, które miodom aromat swój dają. Ale

zieleninka sama, one szczawiki a szpinaczki, one szczypiorki a siekaninki; br!... powiadają, że są nacye zamorskie, *exemplum* galijska, które sałatki jadają i głębiki gryzą, ale tym właśnie zielono w głowie. Tak i Nabuchodonozor trawę jadał, ale wtedy wołem był. Zagłoba zasie twierdzi, że z całej zieleninki *optimum est*—zieleniak...

Wymieniwszy zaś cnotliwy napój, popił pan Zagłoba i trzepnąwszy się po lędźwiach, zanucił:

Ta gra tem się prawem chlubi,
Komu zwiędnie, kto je zgubi,
Lub ge zbędzie innym kształtem,
Zapłaci zakład ry-czał-tem!...

Potem zaś rzekł:

— Jadę na Bielany!

A wspomniawszy Mons Regius, zadumał się mąż znamienity i tak prawił:

— Byłem ci tam, bom do zakonu za młodu wokacęę miał, jeno mi Marysie *impedimenta* czyniły. Żali zaś moja wina, iżem się gładzyszem urodził?...

Tu mrugnął filuternie zdrowem okiem pan Zagłoba, potem westchnął:

— Alem się z opresyi wyrwał i w białym eremie wśród zieloności żywicznej zaszył, na pana Kamedulę się kreując. Jużem w nowym zawodzie niejedną wiktoryę nad znikomościami święcił, bom ojców miódów godnych sycić nauczył i do gry w palcaty zachęcał, kiedy mnie pan Michał fortelem uwiódł i *raptus* nademną szpetne *per insidias* uczynił. Bronilem się, jako lew, cnotę swoją przed pokusami chroniąc, ale gdy mnie pan Michał na ami-

cicyę zaklął, i *spectaculum* groźne przedstawił, jako to nie mam prawa (powiadał) Rzeczypospolitej najlepszej szabli i najmędrszej głowy pozbawiać, tędym uległ.

Znowu westchnął pan Zagłoba i mówił:

— A tak chadzałbym w habicie, nad znikomościami tego świata w białym eremie rozmyślał. *Vanitas vanitatum!*... Jeno ta zieleń wiosenna czasu Pentekosty zawsze mi źle czyniła, myśli grzeszne przywodząc i o zieleniaku *semper* myślałem... Bom ci wokacyę miał raczej na misyonarza i kaznodzieję. Wiadomo waszmościom, jakom w Galacie palmę męczeństwa wziął i kuf... chciałem rzec z rusznicy ustrzelon byłem, z czego mam dziurę w czole. Ale nie wiecie, jako się to stało. Owóż tak było. Pewnego dnia mułłę na dysputę wyzwalem i tak do muru przyparłem, że Mahometa się wyrzekł i gąsior przedniego wina postawić kazał. A jeszcześmy do końca gąsiora nie doszli, kiedy pogańską swoją wiarę rewokował, Mahometa kozim synem nazwał, mnie amicyę do grobu ślubował i do zakonu, kędy są wina co najprzedniejsze, wstąpić się obiecywał. Poczem pod ławę się zwałił. Tedy mnie *unanimiter* zlostoustym obwołano, a jakiś psi syn, niedowiarek, z rusznicy ustrzelić chciał.

Uśmiechnął się dobrotniwie pan Zagłoba, poczem dalej gwarzył ze wspomnieniami.

— Jednakowoż dobrze było w Galacie, bo i sułtanem obwołać mnie chciano i niejedna Zulejka, jako kafar przysadzista, sułtanką mi być pragnęła. Alem ja misyę swoją miodopłynną pełnił wolał i mułłów nawracać. Zem zasię powściągliwości *exemplum* dawał, tędym i starości zielonej dożył.

Obejrzał się niespokojnie pan Zagłoba i zapytał surowo:

— He! Kto o starości powiada?... Ozwij się chłystku, abym cię kpem nazwał. A jeśliś niewiasta (*quod non spero*), tedy ci jeszcze *inventum meam* okażę.

Poruszył się pan Zagłoba na zydłu i rzekł, na majowe drzewa spoglądając:

— Zieloność mnie całkiem rozebrała.

Poczem zanucił:

Z drzew nazrywam latorośle,
Te Marynie pięknej pošlę!...

A uderzywszy się w kolano, zawołał:

— Jadę na Bielany!...

IX.

Pan Zagłoba pod lipą.

Nastał lipiec i oto siadł sobie pan Zagłoba pod lipą i zadumał się.

Było skwarne popołudnie, ale pod zieloną strzechą lipy cień panował chłodny. Muchy jeno w powietrzu bzykały, a pszczoła gęsto do miodnego kwiecia ciągnęła, czyniąc z lipy niby arfę eolską, brzęczącą i śpiewną.

Pan Zagłoba jeno się czasem po łysinie szeroką dłonią klasnął, kiedy mu jakowa uprzykrzona mucha dokuczyła, zresztą cały w dumaniu głębokiem zatonął i o całym Bożym świecie zapomniał.

Totaliter zapomniał o wszystkim—okrom ku-

fla, ku któremu często ręką sięgał, szybkiemu biegowi myśli snadź folgując.

Tymczasem cicho z lipy spływał kwiat słodki, żeglując skrzydełkiem po słonecznym morzu, a jedna gałązka prosto do kufła spadła. Nie ustrzegła się jej chodząca po brzeżku szkła pszczoła i obie utonęły w ciemnym nektarze, napełniając naczynie szelestem i bzykaniem.

Zbudzony z głębokich dumań pan Zagłoba, uśmiechnął się dobrotliwie, pszczołę na kwiecie lipowym z kufła wyjął i położył ją ostrożnie na trawie, nic jej zgoła złego nie uczyniwszy. Potem zasię resztę miodu wychlusnął, nowego nalał i rzekł rozmarzony:

— Lipiec!...

I upiwszy miarę z kufła, dodał:

— Wystały!... słodki!...

A tak chwyciwszy wątek — rzecz dalej prowadził:

— Lipiec—godny to i cudliwy miesiąc. W nim lipy kwitną i mucha się pilnie z ula ku robocie garnie, zbierając miód co najprzedniejszy. Tedy i chmiel dojrzewa, a tak samo przyrodzenia godny proceder wskazuje. I owóż byle chłop, byle cham miód sycić umie, cienkosza sobie przyprawiając. Te jednak miody pośledniejszej natury i ledwie na chamskie gardła starczą. Dwojniak jest ci już lepszy, a trojniak w sam raz...

Tu popił pan Zagłoba i rzekł:

— Dobry!

A potem znów sam z sobą rozważał.

— Trojniak... chciałem ci rzec: lipiec jest tedy miesiąc najgodniejszy. Są i inne, ale mniej cnotliwe. *Exemplo* w maju słowiki się drą ladajako, sen próżno z oczu spędzając; w nocy krew się burzy

i humory kásają... Prawda, że w maju wiśnie kwitną, które to drzewa wiśniak przypominają...

Westchnął pan Zagłoba i rzekł:

— Oj, dało ci nam przyrodzenie i lipy i wiśnie, któremi z dawien dawna kraj nasz słynał, aby człek, jako pracowita pszczołka, ciągnął z nich pożytek... Tedy nie żał nam było pięknych winnych gron dalekiej Auzońskiej krainy. I owóz strach pomyśleć, jakoby się człek bez winnego grona, bez chmielu, bez lipy i wiśni obchodził!... Lada ordyniec, taki kozi syn, z kobyłego mleka kumys sobie przyrządza, *ut laetificetcor*... Azaż są takie *barbarae gentes*, które, o horror! wodę jeno pijają! Nabuchodonozor, powiadają, kiedy się wołem stał, trawę jadał i wodę pijał... A owóz i bydło, gdy je w bród pędzą, ryczy ze zgrozy i obrzydzenia. Gdyby człek ku wodzie przyrodzenie miał, tedyby jako gęś lub zgoła żaba do wody z młodości ciągnął. A on jeno mleko z macierzystej piersi pije. Tedy zawsze mawiano o cnotliwej krainie: „mlekiem i miodem płynąca”, które to słowa rozumieć tak należy: mleko dla onych nierozumnych niemowląt, co byle paluch w gębę wsadziło i już mu dobrze, a miód dla mężów i rycerzy... Żali zaś kto słyszał, by mówiono o jakowymś kraju... „wodą płynący?” Brr... Żabska by się w takim kraju gnieździły, nie ludzie...

Westchnął znów pan Zagłoba, a pociągnąwszy miodu, dalej prawil:

— Godny miesiąc lipiec... Starożytni Rzymianie zwali go „Julius” od onego Caesara, który bitności i sztuki wojennej przykład dawał. Słuszniej jednak nasi ojcowie, którzy w bitności i starożytnym przykładom nie ustępowali, od lipy go i pracowitej pszczołki nazwali. Bowiem pszczołka i pracowita

i skrzętna i miód nadewszystko przynosi. Był ci i Zagłoba taką pszczółką, pracy, skrzętności i umiarkowania przykład dając, a miód... chciałem rzec cnotę nad wszystko przynosząc. Ale go nie oceniono i żywot mu piołunem zatruto. A gdy wielkim głosem wołał: Dlaboga! Miarkujcie pożądlivości wasze, waćpanowie! W szklenice nie dzwońcie! do dzbanów zbyt skwapliwie nie zaglądale! — mawiano...

Tu pan Zagłoba rozpaczliwie rękami zamachał i wedle wąsów mokrych trzepocząc, wrzeszczał:

— A pójdiesz, utrapiona! Zali mnie za lipę bierzesz?...

A odegnawszy pszczołę, która mu na wąsach usiadła, nalał sobie znów miodu, ale w nim troje pszczół utopionych pływało, jako to już było blisko dna.

Tedy przykrywszy dzban połą od żupana, wstał pan Zagłoba i poszedł ku domowi, mrując:

— Okrutnie te pszczoły dokuczają, ale zawszeć—bodaj się święcił lipiec!...

X.

R z e p y, h a!..

Lipy już okwitły, jeno dojrzałe zboże, jakoby szczere złoto, na polach w słońcu się pławiło, a w onem złocie sierpy i kosy srebrzystą błyskawicą świeciły. Przewalając się po skibach, jechały ko-

piaste wozy, a w powietrzu słychać było z tumanów pyłu skrzypienie wielkie i huczne z batów kłaskanie.

Na wozach siedziały dziewczki rześiste, roześmiane, gząc się z parobkami, a gdy owo taki wóz wedle okien dworu jechał, tedy pan Zagłoba ze szklenicy miodu popijał, językiem mlaskał i trzepiąc się po kolanach, mówił:

— Jak rzepy!... Hu!...

Aliści ku myślom powagą brzemienym, jako zwykle wracając, tak owo dalej prawil:

— Dostojny jest miesiąc sierpień, który przodkowie nasi od sierpa, nie jako Rzymianie wedle liczby *mensis september* nazwali. Albowiem ma on w znaku zarówno sierp, jako i rzepę... chciałem rzec „dziewkę”, *virgo*... Tak ci ma lipiec — lipę i „lwa”, który w wystalym miodzie siedzi i animusz zacny rodzi. A jako po miodzie, który pragnienie gasi, a łaknienie budzi, rzepa... chciałem rzec bułka pszenna, alboli placek żytni się przygodzi, tak owo po lipcu kłos w polu dojrzewa i pod sierp dla pożytku ludziom idzie. Ze zasię nie samym chlebem człowiek żyje, tedy i chmiel zebrać przystoi i z żyta godziwej żytniówki nieco upalić. Z kartofli podlejszy już naród siwuchę pędzi, a pludry zgoła uczciwe zboże na mizerną lurę jakowás marnują. A zaś wiadomo, *praeter vinum* nie masz nad miód wystaly!

Tu pan Zagłoba znów do szklenicy zajrzał, językiem mlaskał, a usłyszawszy skrzypienie wozu, za okno wyjrzał i mruknął:

— Rzepy, ha!...

Atoli zwiesiwszy głowę, mówił dalej:

— Alem w czystości żyć postanowił, tedy pokusa przystępu do mnie niema. Do zakonu zawsze

powołanie czułem, jeno mi zawsze *impedimenta* jakoweś na drodze stawały. Lat ci już...

Obejrzał się pan Zagłoba, ażali kogo w izbie nie ma, i myślom swoim swobodnie folgując, gwarzył:

— Ano, lat wiele z pokusami się borykałem, od pana Longinusa i pana Michała pawężą się cnoty zastawiając, to i żywota w czystości dokonam.

I zmrużywszy zdrowe oko ku dzbanowi, zwierzał się *confidentialiter*:

— Mógłby ci Zagłoba wiele powiedzieć, jako pokusy ciężkie zwalczał, gdy w Galacie bywał, z sułtanem w konfidencyę wchodził i do chana krymskiego posłował! Niejedna sułtanka oń wdychania wielkiego, jako szczapa wyschła, chociaż Turczyni białogłowy swoje tuczą, by rzesistości godnej nabrały. Pod niejedną zydel się w drzazgi załamywał, gdy nań usiadła. A orzechy...

Tu tylko ręką machnął pan Zagłoba i rzekł:

— *Vanitas!*

A w coraz większą melankolię wpadając, prawił:

— Jeno mi żal, że owo Zagłoba, jako ona jałowica biała z tego świata zejdzie. Ale jako każdy sierpień ma swój plon, chociażby chudy, tedy i lata Zagłoby nie będą całkiem jałowe. Siał ci on w pocie i żał ostrym sierpem, pragnienie zawsze jeno potem gasząc...

Tedy upił pan Zagłoba spory haust miodu i tak kończył:

— *Non omnis moriar!*.. Zostaną czyny Zagłoby i zostaną jego myśli... Takowe zasie potomstwo godniejsze białej jałowicy, niżli głupie cieleća. Byłe

krowa takiej sztuki dokona... Gdy tedy mój sierpień przyjdzie, legnę jako kłos śpiący a ciężki i pójdę na wieniec przodownicy. I pomnieć będą pokolenia, jakom wstrzemięźliwości przykład dawał (tu popił jeszcze pan Zagłoba), umiarkowaniu wzorem służyłem, pokusom się oponowałem i pożądlivościom folgi nigdy nie dawałem.

A gdy wóz zaskrzypiał za oknami, tedy pan Zagłoba aż się wychylił i krzyknął:

— Rzepy! ha!...

XI.

Jako pan Zagłoba o grzybach rozważał.

Ciągnęły już zórawie kluczami i bociany zrywały się do odlotu, a słońko, zniżając się coraz bardziej na niebie, świeciło jakoweś mdłe i melankolii wielkiej pełne. Tedy i pan Zagłoba w melankolię ciężką popadł, i gęsto wasy w miodzie maczając, aby ulgi na duszy doświadczyć, tak sobie prawił:

— Wrzesień—ano jesień... Schyla się słońko ku zimowej stronie i ptactwo do odlotu się zbiera. Wrzosa, od którego to ziela i miesiąc wrześniowym nazwano, fioletem podszywają lasy, a liście purpurą i złotem się okrywają. I chodzi sobie ona jesień nasza, jakoby dostojnik jaki w fioletach, złocie i szkarłacie...

Spuścił głowę pan Zagłoba i rzekł:

— Melankolia mnie zmogła, tedy jako *poeta*

gadam, który to naród wiatraki wzdychaniem wielkiem obraca, ale pospolicie mało pocziwej mąki umieie. Mógł ci być i Zagłoba poetą zostać, bo go już Apolinem okrzyknięto, ale nie chciał darmo chleba. Chodził ci też jako dziad-lirnik, a woncezas dumki misterne układał o Marynie i „diwczynie”, a holoła nasłuchać go się nie mogła. Ale kiedy Semena setnie w łeb lirą zajechał, tedy dowiódł jasno, jako lira w ręku męża nie brzękadłem, jeno orężem być winna...

Westchnął znowu pan Zagłoba i miodu w miarę popił, a potem prawił:

— Owóz, com chciał rzec?... Aha!.. Wrzesień—godny miesiąc, choć od mizernego zielska nazwany. W nim też i liść winny się czerwieni i jagoda dojrzewa, ostatnie promienie słońca w siebie biorąc, aby ludziom ku pociesze serca służyć. Bowiem powiedział mędrzec: „*Bonum vinum laetificat cor!*...” I oto wrzesień, chociaż w melankolii chodzi, raduje cnotliwe serca, które widzą, jako się jagoda nalewa, a jesień powiada: wypij! A owoż powiedział jeszcze cnotliwy mędrzec: Są trzy *gradus comparationis: bene est* — nalej, *melius* — pij, *optime*—wypij!

Jakoż wypił Zagłoba, bowiem był cnotliwego serca, i rzekł dalej:

— Ztąd jesień w winnym wieńcu chodzi i jako Bachusa na znakach pod wiechą *pictores* ją imaginują. We wrześniu też mucha silna bywa i ze psem za łby się bierze. I pospolite muchy okrutnie kęsają, zjadliwość ostatnią okazując.

Tu klasnął się pan Zagłoba po łysinie, a potem jeszcze gwarzył:

— We wrześniu grzyby w lasach gęsto rosną, a rydze po polankach szlakami między murawą cią-

gną. Tedy miesiąc ten możnaby grzybny, albo li rydzowym nazwać.

I nagle rozrzewnił się pan Zagłoba, a tłumiąc westchnienia miarowemi łykami, wołał:

— Przebóg! Chciano i Zagłobę za grzyba mieć, ale grzyb grzybowi nie równy. Są grzyby psie, są zajęcze, wilcze, sarniaki, są bedłki pospolite, są muchomory zjadliwe, ale są ci i borowik i rydz między niemi. Jest ci zasię borowik grzybów pułkownikiem, ale rydz im chyba hetmani. Jędrny jest, soku czerwonego, niby krwi pełen, na czubie ryżawy, czerw go się łącno nie ima i korzeń ma twardy...

Tu pan Zagłoba po lędźwiach się trzepnął i chociaż nikogo w izbie nie było, rzekł:

— Rydz, co?...

A potem zasie mówił:

— Na gębie zawsze byłem czerwony, a jędrność ciała na długie lata przechowałem, bom wstrzemięźliwości i modesty przykład dawał. Jeszcze mnie sułtanka Zulejka rydzem zwała, pod bok z amicycyi sójkę dając, alem jej rzekł: „Nie dla psa kielbasa...” A była to godna niewiasta, jak rzeпа, ha!... Bom ci czystość ślubował i zdawna abominacyę czułem do tego niewiernego tałałajstwa, które wina nie pija, albo li, Mahometa oszukując, w bukłakach je mierzi i smrodem kozim przyrodzone jego aroma zatruwa.

Na to wspomnienie rozrzewnił się jeszcze bardziej pan Zagłoba, a upiwszy godziwie miodu, westchnął zawiesiście i rzekł:

— Wara, mości panowie, mieć Zagłobę za grzyba zmurszałego, który jeno czerwom za karm służy! Jeszcze ci Zagłoba tak na psy nie zeszedł... Jeślim grzyb, to jeno rydz, który jędrności i czer-

stwości jesiennej przykład dawa. Bowiem ten rydz, niby fijołek jesienny w trawie się kryjąc, zawsze wstrzemięźliwości i modesty uczy. A zasie borowik nie jeden, choć ma trzon, jak pałę, brzuch, jak beczkę, a czub czarny, czerwiami jest, niby zraz słoniną, naszpikowany. Tedy się, modesty i wstrzemięźliwości uczcie, jeśli chcecie na sta... chciałem rzec, na jesieni rydzami zostać.

I popiwszy jeszcze haust grzeczny ze szklenicy, pan Zagłoba po udach się trzepnął i, choć nikogo w izbie nie było, zawołał z lubością:

— Rydz, co?...

XII.

B a b i e l a t o .

Jużci ziemia, zbywszy się plonu, ciemną pierśią ku słońcu błysnęła, a gęste mgły, w dół przy-padłszy, zdały się tę nagość osłaniać; jużci i lasy, umalowane w szkarłatne i pozłociste barwy, jęły liść strząsać i łysieć; jużci ranne rosy poczęły ziebić, a noce chłodem przejmować, gdy oto jeszcze raz uśmiechnęło się słońce. Było ono złote, jako nigdy w lecie; słodkie, niby umizg niewieści, mdłe, niby sama niewiasta i jako ona wabne a pieszczotliwe. Wyjrzało i ozłociło i tę ziemię w czarne skiby zoraną, i te lasy, to rdzawe, to szkarłatne, i tę zieleń łączną, po wtórych pokosach poszarzała, i cały świat i wszystkich ludzi. Taka-bo już bywa nasza jesień polska, kiedy zechce. Nie zawsze ta-

ką bywa, ale gdy się uweźmie, to i wiosnę zakasuje. Nie darmo wrzesień drugim majem nazywają! A i październikowi czasem się z tego coś okroi...

Tedy słodko było w tym umizgu słonecznym na świecie i pan Zagłoba, jako ciepło nadewszystko miłował (gorąca tylko i tłoku nie znosząc), przed gankiem na zydlu usiadł i gąsior na wszelką przygodę pod ręką postawił.

Siadł i nie iżby kości miał wygrzewać, jako to niedołężna starość czyni, lecz niby śpiałe grono głowę łysą na słońce wystawił i—zadumał się. A była to zaś zaduma głęboka, rzekłbyś drzemanie, gdyby nie to, że pan Zagłoba słabości onej lat sędziwych nie podlegał. Ot dumał poprostu *de quibusdam rebus et omnibus aliis*, politykiem i statystą zwołanym będąc.

Aż owo z lipy, która już, jak ongi, nie brzęczała słodko pszczołami, zaczęły spływać cicho liście, a wraz z niemi spłynęła i długa nić pajęczna, którą jesień po powietrzu rozwiesza. Spłynęła i omotawszy łys pana Zagłoby, poczęła coraz to nos znamienitego męża muskać. Pan Zagłoba, zadumy głębokiej nie przerywając, kilka razy niby od dokuźliwej muchy się opędził, lecz w końcu uległ. Brwi podniósł, głowę wstrząsnął i—kichnął...

Otwarłszy zasie oczy, począł:

— Zdrzem...

Ale rychło do przytomności wracając, mówił:
— Com chciał rzecz!... Aha!... Ki lichy, w nosie mi łechtalo?... Aha!... Owóz i babskie lato po powietrzu się snuje, niby owe przedziwne motki, które białogłowy przędą... Ano! taka i jesień nasza, jakoby cię niewiasta po gębie głaskała i w umizgu a słodkim karesie mówiła: „Onufer, a naści gęby!...” Specyał!...

Mlasnął językiem pan Zagłoba i miodu upił.

— Październik—godny miesiąc, choć od lada-
jakiego października jest nazwany. A zawždy miło
pojrzeć, kiedy baby len międlą, wyżej kolan kiecki
ugiąwszy. Bo owo i pracy pilnej *exemplum* dają
i rzepę... chciałem rzec: zdrowie okazują. A potem
i październik niby srebrne płatki po powietrzu lata-
ją, tedy i październikowym miesiącem nazwano. Ale
i szlachetniejsze też prace październik człowiekowi
zgotował. Chamską rzeczą jest międląć i młócić,
szlachecką zasie miód sycić i o winie pieczę mieć,
jako to na jesieni i liść winny pierwszy się czerwie-
ni, *officium to nobile* przypominając. Jeżeli zaś liść
winny czerwieni się zgoła, tedy czyni to z kolery
oraz z abominacyi, jako ludzie dzisiaj lurę pijać mo-
gą, którą pod lada wiechą — wodą setnie podlano.
Brr!..

Tu popił znów pan Zagłoba miodem i dalej
prawił:

— Ma ci miesiąc październik w herbie nie-
dźwiadka, który jest zwierzęciem zamorskiem i kol-
cem w ogonie merda. Ale mógłby mieć i niedźwie-
dzia, który miód nadewszystko przenosi i w paź-
dzierniku do barci się dobiera. Aliści, jako i nie
jeden panek potem łapę przez zimę liżę, z czego mamy
brać naukę, aby wstrzemięźliwość i miarę zawždy
zachować.

Jakoż upił w miarę pan Zagłoba i rzekł:

— Był ci Zagłoba takiej wstrzemięźliwości za-
wsze przykładem, tedy go się i dzisiaj babskie lato
ima. Bom ci jeno jako śpiałe grono dojrzał i staro-
ści nie zaznał. Tedy mnie jeszcze słońce po gębie
głaska i mają jesienne budzi... A owoż niejeden
w ową porę kości stare na słońcu suszy i jako nie-
dźwiedź o drzemce jeno myśli.

Zadumał się pan Zagłoba i oczy nawet przy-
mknął, a głowa mu się na bok przechyliła. Gąsiora
zgoła—aż dziw!—zaniechał i tylko snadź myśli wiel-
kie zgłębiał. A z lipy prószył liść złoty i srebrne
pasma znów jęło go po nosie łaskotać. Tedy otwo-
rzył oczy mąż dojrzały i począł:

— Zdrzem...

Ale wraz oprzytomniał i strzepując przędziwo,
ku szklenicy się garnał, a myśl przerwaną tak
kończył:

— Utrapione babskie lato!...

XIII.

Jak pan Zagłoba gęś na św. Marcina spomniął.

Ocknął się tego dnia pan Zagłoba całkiem
osowiały. Oczyma po powale i ścianak błędził, szu-
kając onej poświaty jasnej, którą z sobą przynosi
pierwsza ponowa śnieżna, aliści w okna zaglądał je-
no brzask mdły i nikły wstającego późno dnia li-
stopadowego.

Dzień był szary i dżdżysty, z siwem podszy-
ciem mgły skłębionej, ze zrudziałemi wyporkami
drzew bezlistnych i wielkim tołubie chmur, rzekłbyś
Tatarzyn, po zdeptanych polach z łupem wracający.

Nie szło też nic tego ranka panu Zagłobie:
przy pacierzach omal się nie zdrzemnął, polewkę
z piwa z grzankami wysiorbał bez smaku, a miód
wydał mu się jakowyś niewystały i cienki.

Siadł sobie tedy na zydlu wedle pieca i tak
mówił:

— Owóż miesiąc listopad, *mensis november*, psu na budę się nie zdał, kiedy ponowa się spóźnia. Woli też pies w budzie siedzieć, aniżeli w polu błota zażyć i od byle szaraka, który sobie pod miedzą, jak pan, siedzi, despektu i melankolii z trudem się opędza, żeby go do cna nie pogrążyła.

Popił pan Zagłoba miodu i rzekł:

— Całkiem na psa taki czas!... Melankolia mnie zmoże!... Owo bowiem przyrodzenie pełne smętku i żałości..

I zwiesiwszy głowę, począł nasłuchiwać:

— O! jako się wrony drą... Żeby je pokrzywiło!... Bo to i ladajakie ptactwo i złe zawsze wróży... A i gęsi niebożęta hałas okrutny sprawiają... Bodaj...

Lecz zastanowił się pan Zagłoba i rzekł zadumany:

— Którego to dzisiaj mamy?... Aha, jako żywo: *die undecimo novembris*, tedy dzisiaj św. Marcina.. Żem też to całkiem przepomniał!...

I ożywiwszy się nagle, tak prawił:

— Cnotliwy miesiąc listopad, gdy oto ma w herbie tak godnego patrona. Bowiem św. Marcin rycerzem był znamienitym i teraz pewnie w niebie porucznikuje, prowadząc chorągiewkę przeciw zastępom piekielnym. Tedy i pomiędzy patrony św. Marcin jeden z najprzedniejszych i razem ze św. Jerzym wojuje. Jeślibym zaś miał syna, jużbym go też nazwał Marcinem, bowiem Onufer imię raczej hetmańskie... Ale ja, jako jałowica biała, choć... Ano, wszystko dopust Boży!...

Westchnął pan Zagłoba, zdrowem okiem mru-gnął i mówił dalej:

— Com chciał rzec?... Aha!... Owóż i gęś, jabłkami nadziewana, najprzedniejsza. Dziw, jako

to ptak niepoczesny, a cnotę dostojną w sobie kryje. Są, którzy orła królem ptaków mieć chcą—sokoła mu do boku, niby hetmana, dodając, ale i gęś wysoko sięga, choć lot ma ciężki, zwłaszcza gdy pocziwa i tłusta... Żali nie gęsi Kapitolium ocaliły? Żali nie przez pióra gęsie spływały zawdy kastalskie zdroje? Lada chłystek w kołpaczka sobie pióro upnie i puszy się, a pióro gęsie w ręku męża, albo li za uchem znaczy: lubo kanclerską godność, lubo kronikarską uczoność, lubo pisarską szarzę... Czemby był imć pan Rey bez pióra gęsiego! albo pan Jan z Czarnolasu? albo Zagłoba, który i do chana krymskiego i do Stambułu listy (że o sułtanach nie wspomnę) pisywał?... Uczyniły tę cnotę narody, które, jako z orła Jowiszowego, tak z gęsi Apolinowego ptaka uczyniły. Owoż od gęsi i gęśle brzmiące i gaśliczki śpiewne ród swój wiodą, a najcnotliwsze naczynie, którem jest gąsior (byle nie pusty!) takż imię swoje gęsiemu hetmanowi zawdzięcza. A jako zawsze źli i niecnotliwi ludzie bywali, tedy i gęś postponując, wodę (brr!) gęsiem winem, a turmę—gąsiorem nazwali. Ale się one wydziwiania cnoty nie imą, jako pył sprośny łabędziego pióra. I po wsze wieki będzie gęś ptakiem godnym i zacnym, zwłaszcza gdy pieczona...

Poruszył się niespokojnie na zydlu pan Zagłoba i pociągnąwszy nosem w stronę kuchni, mruknął:

— Dziw, że mnie dotąd nie zalata?... Żaliby i tam zapomnieli *die undecimo novembris?*... Muszę tę rzecz spenetrować!..

A uderzywszy kanclerską dłońią po stole, tak konkludował:

— Tedy, jakom to rzekł odrazu, listopad — miesiąc najcnotliwszy, bo ma i w herbie św. Marcina i chęciom pocziwym upust daje, godami przy-

stojnemi melankolię spędzając... A zaś gęś, jabłkami nadziewana, najprzedniejsza!... Żeby jeno, taki syn, kuchta nie zapomniał!...

XIV.

R o r a t y.

Owóz zimą ustaliła się rychło tego roku, a po Matce Boskiej Śnieżnej biało było na świecie, jakobyś puchy łabędzi rozesał na polach.

Las stał cały w szronach, niby w bisiorach drogich, a okiść stroszyła się na gałęziach wiechą, niby one kity u kołpaków, kiedy chorągiewka legnie w zasadzce i stoi zakryta krzami, jeno się pióra kołyszą.

Chodziły zasie polami i onym borem oszroniałym wichry i tumany śnieżne, już to dmuchając zamiecią, już to kręcąc zawieruchą, już to hukając i wyjąc, jakoby stado wilków, już to zawodząc jakowymś płacziwym lamentem.

Ranek był mroźny i szary, kiedy pan Zagłoba wracał saniami z roratów. Sanie szły kopną drogą, konie paraskały na mróz, pacholik z bata klaskał, a pan Zagłoba trząsał się i jeżył w lisiurze, od czasu do czasu przez zaciśnięte zęby wołając:

— A walże batem po łbie licowe, pogański synu! Widzisz, jako luzem chodzą, a sanie jakoby mucha w śmietanie grzęzną... Zagłobę wiesz, tedy jakobym rzekł: „Cezara wiesz”, chociaż ty tego, chanie, nie rozumiesz... A patrz, jakobyś bryły lodu nie przywiózł... Całkiem mnie mróz do kości

przejął!... *Rorate coeli!*... A jako Hagar na puszczy kropli dżdżu, tak ja oto pragnę — gorzałki... Żem też, *vir tam peritus*, o jakowymś likworze nie pomyślał!... Miód teraz na nic! Nie masz zasie na rozgrzewkę, jako *aqua vitae*.. A najlepsza będzie na pieprzu, alboli piołunie...

I znów trząśł się pan Zagłoba, wołając:

— A nie żałuj bata, taki synu, bo zgoła zmarznę!

Potem, łagodząc głos, nagle żałośliwie począł:

— Maciek!... Pomniesz, jakom ci ongi, kiedyś takim oto bakiem był, kukielkę z jarmarku przywiózł? Możesz ty mi i brat mleczny, bom mamek kilkoro miał, od małości wielkim smokiem będąc... Maciuś! powiedz! masz li gorzałkę, choćby siwuchę, bo chamska gęba wszystko zniesie? Jeśli masz, tedy daj, a o szarzy hetmańskiej i dostojęństwie zapomnę i wypiję. Nie godzi się zasie brata mlecznego zostawiać, żeby zmarzł, bo ciebie i kożuch grzeje i batem setnie na rozgrzywkę machasz. Zaś to sobie rozważ, jaki ztąd splendor na ciebie spłynie. Z dziada pradiada chamem byłeś, a przez siwuchę omal że się nie uszlachcisz. Zalibyś ojca swego, albo matkę *in periculo* opuścił? A zważ, jako parantella przez krwie nie taka jest mocna, jako przez gorzałkę... chciałem rzec przez mleko... Żaliś słyssał, jakoby kto krwie pijał?... Bydłeta jeno i dzikie zgoła hordy takim specyalem nie gardzą. A zaś mleko byle bak pije i jeszcze się oblizuje... Po prawdziec podły to napój i jeno dla baków, cieląt i białych głów w sam raz, ale zawszeć lepszy, aniżeli krwie, albo woda... Tedy, Maciuś, pomyśl i daj mi siwuchy. Jakibyś ty chłop był, żebyś bez gorzałki w drogę jechał?... Maciuś!...

Ale Maciek, jak się okazało, gorzałki nie miał i pan Zagłoba całkiem sposepniał.

— Mówilem zaraz, jakoś ty prosty cham i taki syn. A zaś com o braterstwie mlecznem gadał, to *per locum*... Bom się na sułtańskim dworze chował i sułtanka mi mamkami były... Tedy mnie i sułtanem obwołać chciano... Ale mróz!... Żebyż to taki czas!... Chyba o „białych świątkach” rozmyśląc będę, bo czasu adwentu śledziem serca nie rozgrzejesz. Mam ci ich cały ahtelik, ale kiepska to ryba, i tę chyba jedną cnotę ma, że pragnienie grzechne budzi. Na świątki to sobie już pofolguję, bom na dźdze niebieskie godnie czekał w skrusze i umiarkowaniu. Ale cóż? Polewki migdałowej nie lubię, bo to do niczego i tylko mdli. Chybaby piwną zadysponować, choć to nie przystoi. Ryba — niezła, zwłaszcza szczupak z chrzańem, albo i inna w sosie szafranowym. Dziwne to boskie stworzenie, co całe życie w wodzie spędzić może... Tedy je potem gęsto korzeniami przekładać trzeba, żeby pocziwego smaku nabrało. A zaś i podlewać trzeba winem, albo miodem, aby choć w człowieku godny koniec znalazło. Tedy już starożytni Rzymianie mawiali: *post pisces vinum — misces!*... Zaś potem kapusta z grzybami najlepsza, bo one łamańce z makiem i miodem, albo śliwki suszone, to jeno dla białych głów się nadadzą. Żadne to zgoła jedzenie, chyba przy miodzie zakąsić...

Nagle z zadumy rozbudziło pana Zagłobę mocne trzaśnięcie z biczą i zątoczenie się sani.

— Trzymaj, bo wywalisz!—ryknął pan Zagłoba, aliści spostrzegł, że jest już przededworem.

Tedy począł się co sił gramolić z sani, a szcękając zębami z mrozu, już od ganku krzyczał w niebogłosy:

— Gorzałki!... I w mig polewkę grzaną podawać!... Całkiem mnie mróz przejął!... Ledwiem

się w kukłę lodu, jako żona Lota w słup soli nie przemienił... Tedy mi śledź całkiem obrzydł!... Gorzałki!..

LATARKA DYOGENESA.

Stary cynik, Dyogenes Pontyjczyk, został takim samym z tamtej, jakim był z tej strony Styksu. Zabrał z sobą na pola Elizejskie i brudny chiton w łachmanach, i beczkę pustą, i historyczną latarkę, z którą szukał człowieka i całą wreszcie „psią” pogardę dla wszelkich spraw pozornie „ludzkich.”

Szukać jednak człowieka nie zaprzestał, albowiem przywykł jakoś do tego, a niepowodzenie sprawiało ma złośliwą przyjemność. Co dnia tedy zapalał uroczyście latarkę i szedł krążyć pomiędzy cienie, uganiając się za ludzką „psyche.” W Atenach nauczył się wielbić piękno, które kowała sama natura grecka i życie greckie wśród białych kolumnad, ciemnych gajów laurowych, w oprawie turkusowego nieba i fal turkusowych morza, szmaragdu łąk i różowych smug olimpijskich szczytów. Widział też, jak owo piękno form ucieleśniało się pod dłutem fidyaszowem w marmurze i stawał olśniony wobec czystości linii i prostoty rysunku. Czyż dziw, że chciał znaleźć równie piękną „psyche,” z taką linią czystą i bez skazy?...

Ale kuźnie Sokratesów, Platonów i Arystotelesów nie stworzyły Zeusów olimpijskich, ani Apolinów łuczników, ani Afrodyt złotowłosych, ani Aten „sowio-okich...” Psyche była w dzieciństwie tu krzywa, tam mizerna, owdzie z garbem, albo z jakim skrzywieniem obojczyka.

Mówił tedy z czystym sumieniem Dyogenes:

— Nie znalazłem człowieka!

I tu z tej strony Styksu przez wieki całe wiodło mu się nie lepiej. Były psychy najrozmaitszego pokroju, i mniejsze, i większe, i dziecinne, i dojrzale, ale „psychy” prawdziwego człowieka bez skazy nie było.

Więc wracał co dnia Dyogenes nad brzeg Styksu, zdmuchiwał miarkę ze złośliwym uśmiechem i zasypiał na słomie w swej pustej beczce, owinąwszy się szczelnie w brudny chiton, aby go wietrzyńska elizejskie po kościach nie rozbierały.

Czasami jednak, trapiiony bezsennością, szedł na gawędę do Charona. Siadały wtedy dziady na urwisku nadbrzeżnem i gładząc siwe brody, gwarzyły o tem i o owem. U stóp ich szumiały sennie czarne fale Styksu, cerber brzękał łańcuchem i ziewał w swej budzie, a oni gawędzili, wspominając dawne dzieje, jak to jest obyczajem starości.

Pewnego razu Charon zagadnął Dyogenesa:

— No cóż, znalazłeś człowieka?

Dyogenes machnął ręką.

— Bodaj mnie cerber pokąsał, jeżeli łzę, ale nie...

Cerber kiwnął głową pobłażliwie.

— Złe szukał!

— Ale, źle!... Jak igły w stogu arkadyjskiego siana. Ludzi widziałem, ale człowieka, jako żywo, nie.

I bił się w wyschłe piersi, klnąc zapamiętale:

— Na Plutona i Radamentesa! Bodaj mi tak kiszki poskręcało! Bodajbym się Letą zachłysnął! Bodaj mi bebechy...

Charon wciąż kiwał głową.

Paskudną masz gębę, mój Dyogenesie, ale od tegoś przecie cynik. Za to będziesz miał uciechę, kiedy ci powiem, że już nie potrzebujesz szukać.

— A to czemu? — spytał niespokojnie Dyogenes.

— Bo teraz tam—wskazał ręką za Styks—ludzi wcale niema.

— Jakże to? Niema ludzi... A któż tam jest, na włócznie Artemidy? Same zwierzęta?...

Charon mrugnął okiem tajemniczo i rzekł krótko:

— Nadludzie!

— Co? jak? Nadludzie? Hyperantropoj? Co to takiego? — dopytywał zaciekawiony Dyogenes. — No, to musiał być chyba przedtem człowiek, żeby był potem nadczłowiek.

— A widzisz? Musiałeś oczywiście przeoczyć!...

— Gadaj zdrów! Ziarnko gorczyczne w morzu byłoby się ładniej ukryło. Ażem latarkę sobie zepsował. Ale, jak „to” wygląda?

„To” miało być nadczłowiek.

— A... no... — zakłopotał się Charon — jakby ci tu wytłómaczyć... Oto wyobraź sobie — naga duszę!

Dyogenes omal nie spadł do Styksu ze zdumienia.

— He? Co?... Niedosłyszałem? Naga dusza, naga psyche, naga, powiadasz? To niby jak?... Może jak tu, w Hadesie?

— Niezupełnie tak. Tam zostało jeszcze trochę kości i mięsa, ale taka psyche płonie sobie w skórze, jak ogarek w pergaminowej latarce...

Dyogenes kiwał głową zdumiony.

— No, no! Na Zeusa, to dziwniejsze od mojego oskubanego koguta, którego dałem jako przykład „człowieka Platona...”

I nagle zaczął błagać:

— Mój Charonie, mój Charonku, mój Charoneczku, zrób mi łaskę i przewieź choć na chwilę na tamten brzeg, abym taką nagą duszę i takiego nadczłowieka zobaczył...

A tak gorąco błagał, tak argumentów dobierał, że Charon, mimo wyraźnego zakazu Minosa, ukradkiem go do łodzi wpakował i na drugi brzeg Styksu przewiózł.

Gdy przybyli, Charon trącił cynika w ramię i rzekł:

— No, teraz patrz do woli. Oto nadludzie i „nagie dusze” przed tobą.

Dyogenes spojrział i zdumiał się. Spostrzegł istoty o łbach dużych, wyłysiałych i rozczochranych, jak u Meduzy, o szklach w oczach, o karkach zgiętych, piersiach zapadłych, nogach cienkich, rękach długich, jednym słowem w zestawieniu z fidyaszowemi wzorami—potwory.

Tedy splunął i nieznacznie rzekł:

— Na Zeusa i Atenę, to mizerniejsze od mojego oskubanego koguta!..

I uczynił za sobą znak na odpędzenie złego omenu, albowiem, jako szczery filozof, był przesądny wielce.

Pociągnąwszy zaś za chiton Charona, wyrzekł:

— Mam tego dosyć!

Skoro powrócili, udał się Dyogenes do swojej beczki, zgasił skrupulatnie latarkę i chciał ją utopić

w Styksie, ale się rozmyślił i oddał ją Charonowi, ile że został mu dłużny od pierwszej podróży okrągłego obola, a procenty rosna i na polach Elizejskich.

Potem napił się parę przygarstek Lety, aby zapomnieć o nadludziach, wśród których ani myślał szukać—człowieka...

KLEPSYDRA.

Sędziwy Chronos podparł siwą brodę pięściami i patrzył wypłowiałem okiem na klepsydrę, w której ostatnie krople z cichym pluskiem spadały do dolnego przedziału. Obok gorzała lampa, pryskając i wybuchając czasem płomieniem, przyczem oblewała jaskrawem światłem górną część klepsydry, podczas gdy dolna nurzała się w ruchomym cieniu. W blasku lampy górna zawartość klepsydry rozpałała się w tęczę i dyamenty, a każda opadająca kropla płonęła niby gwiazda, nim utonęła w ciemności.

Chronos gonił roztargnionemi oczyma te gwiazdy i uśmiechał się zagadkowo.

Wtem z głębi Hadesu wynurzyła się postać cynika Dyogenesa i stanęła za plecami Chronosa. Filozof psiej natury oddawna już zdziadział do szczętu. Nagie swe członki otulał w obszarpaną i wytartą chlamydę, bo mu starość po kościach strzykała; kosztorem się podpierał i palec nad latarką od czasu do czasu rozgrzewał.

Humoru jednak nie tracił i stanąwszy za Chro-

nosem prawicą go po ramieniu uczciwie trzasnął, zagadnąwszy znienacka:

— Cóż, stare próchno?... Kapie?...

Chronos się zachnął, obejrzał za siebie i ze złością zawołał:

— A kapie, kapie, ale już nie dla ciebie, stary kpie!

Dyogenes nigdy nie zostawał dłużny w odpowiedzi, więc rzekł:

— Jeślim kpie, to po starszeństwie tyś większy, bom ci albo synem, albo wnukiem, alboli prawnukiem...

— Dla psa taka parantela! — odburknął Chronos.

Dyogenes śmiał się wesoło:

— Na Hekatę, a toś mi dogryzł!... Alboż nie wiesz, żem sobie psa do herbu wziął, bom psa widział i poznał, a człowieka nie. A że mi z tej klepsydry coś zawsze ukapało, więc do kuzynostwa się poczuwam, jako wszelka żywa a choćby nieżywa istota. Tedy się, stary, nie gniewaj i powiedz raczej, czego ty tak ślęczysz?

— Ano—mruknał udobruchany Chronos—trzeba w porę klepsydrę odwrócić.

Potem splunął i rzekł:

— Psia służba! Bez początku i końca...

— Juźci psia!... Ale, gdybyś tak klepsydry nie przewrócił, chybaby się świat też nie przewrócił?... Czasby sobie płynął i płynął, a tybyś miał słodki wypoczynek.

— To się wie, ale jakoś przystoi czas mierzyć. Ludzie, nie widząc ani początku, ani końca, radziby uchwycić choć środek.

— A gdzież on jest?—zagadnął ciekawie Dyogenes.

W tej chwili mignęła jasna gwiazda w klepsydrze i zgasła.

— Widziałeś?—spytał Chronos.

— Mignęcie?... Ano—widziałem.

— To jest ów środek, a zowie się terazniejszość.

— A jakże ją ludzie chwytają?

— No, chwycić mogą, ale nie uchwyca, bo jej zgoła nie ma?

— Jakże to?—zawołał Dyogenes.—A tam, gdzie spadła?

— Tam już przeszłość.

— A tam u góry, gdzie tkwiła?

— Tam przyszłość.

Dyogenes pokiwał głową i jał się uważnie przyglądać górnej części klepsydry, z kądem wciąż tryskały tęcze i kapały gwiazdy.

— Rzekłbyś topione złoto! — mruknął do siebie.

Chronos uśmiechnął się pobłażliwie.

— Taką zwykle wydaje nam się przyszłość. Jakoby ją tkiała Iryda, albo sam Wulkan kował ze złota Plutosa. A chcesz-li zobaczyć, co to jest, tedy zbliż swoją latarkę do dołu i patrz!...

Dyogenes uczynił to, ale się skrzywił i rzekł pogardliwie:

— Mętna woda!

— Otóż to, a gdy ją odwrócę, znów skrzyć się i połyskać będzie tęczą różnobarwną.

Teraz uśmiechnął się Dyogenes złośliwie i wskazał ręką:

— A ci, niby ludzie, tam, myśleć będą, że to znów tęcze, gwiazdy i wszystkie skarby Amfitrydy!... Głupi!

— Albo i ty takim nie byłeś?

Dyogenes pomyślał chwilę i rzekł z przekonaniem:

— Byłem!

Potem zaczął znów przyglądać się bacznie wodzie w dolnej części klepsydry i badał:

— To ty tę samą wodę przewrócisz i ona znów kapać będzie... Więc czas powraca?

— Czas nie powraca, ale wypadki powracają i wszystkie twory z tego samego mułu się lepia... Cóż chcesz, nic nowego pod słońcem!

— Fiu! — mruknął Dyogenes — taki z ciebie filozof.

Potem niespokojnie się poruszył i zapytał:

— A może tam jest nowy Dyogenes?

— Może!... — uśmiechnął się Chronos.

— Ale ręczę, że gorszy! — rzekł stanowczo cynik.

— I zapewne masz rację, chociaż bowiem czas płynie wiecznie ten sam, bez zmiany, twory w nim zatopione karleją. W mojej klepsydrze wylot mułem oblega i gwiazdy coraz drobniejsze spadają.

Nagle Dyogenes pochylił się nad dołem klepsydry, a w blasku jego latarki strzeliło kilka oderwanych smug tęczy.

— A to co? — zapytał zdziwiony.

— To — objaśnił Chronos — nalot na szkłe z przeszłości... Takie tęcze tryskają tym, których oczy powlekły się mgłą starości i dla których w górze klepsydry już kilka tylko kropel zostało.

Nagle stała się rzecz dziwna.

Dyogenes zadumał się i szeptał cicho, jakby do siebie:

— Czy wiesz, Chronos, oto widzę macierz i dom wśród oliwek nad brzegami Pontu... I widzę Melitę, taką różaną, jak Heos wschodząca, gdy stopą z marmuru rozbija pełne łuski złotej chłodne fale Illisu... Na Afrodytę! rzekłbyś sama Anadyomene zstąpiła do oliwnego gaju...

I patrzył chciwie w iskrzące tęcze nalotu przeszłości, nie słysząc, jak z szelestem spadały ostatnie gwiazdy-krople i nie widząc, jak Chronos sięgał ręką ku klepsydrze, ażeby ją odwrócić... Choć znał tajemnicę przemiany gwiazd na szarą, mętłą wodę, pił jednak pożądliwie odbicie zgasłej tęczy...

KŁAMSTWO.

Przed tronem Zeusa na Olimpie stanęła naga Prawda i rzekła:

— Oskarżam!...

Była zaś cudnie piękna czystością i powagą linii, więc bogowie spoglądali na nią z podziwem i uwielbieniem.

I stała tak Prawda z namarszczoną brwią i błyskiem przenikliwych oczu, prawie groźna, przed tronem Olimpijczyka.

Oskarżonem było Kłamstwo. Stało i ono tu w chlamydzie i chitonie, suto lamowanym szychem, z oczyma biegającymi niespokojnie i błędzącym uśmiechem ironicznym na ustach.

A Prawda wyciągnęła ku niemu prawicę i mówiła:

— Oskarżam!...

Zeus brew namarszczył.

I oto zdało się, że czarne fale oceanu piętrzą się burzą, a chmury przecina błyskawica. Orzeł u stóp boga bogów nastroszył pióra, wyciągnął dziób, a w szponach jego groźnie zahuczały pioruny.

I rzekł Zeus grzmiącym głosem:

— Mów!...

Prawda zaś tak oskarżała:

— O to ja poszła na ziemię, aby tam rządzić i panować. I niosłam ludziom szczęście, a ten, któryby mnie posiadał, mógł stać się równy bogom Olimpu. Lecz, zaprawdę, nie masz takich, albowiem Kłamstwo krzyżuje mi drogi. Oto każe ludziom błądzić, ono ich unieszczęśliwia, ono rodzi fałsz i obłudę, ono niszczy moje panowanie. O, bogowie, wy, którzy uwielbiacie Prawdę, ukarżcie je i nie pozwólcie mu chodzić po ziemi. Bogowie, potępcie Kłamstwo!

Skończyła, a Zeus spojrział po reszcie bogów i rzekł.

— Czekam waszego zdania.

I stała się rzecz dziwna.

Muzy łamały ręce ze zgrozą, ale, zmieszane nieco, nie odzywały się wcale, Apolin zaś, lekko uśmiechnięty pod słonecznymi kędziorami, stroił swą lutnię i milczał.

Hermes, który jest bogiem handlu, przypasywał pilnie do nóg skrzydlate sandały i udawał, że nic nie słyszy.

Ares, choć czasem aż do brutalności śmiały, brząkał mieczem o tarczę i także milczał.

Pluton rachował pieniądze, Hefaistos skarżył się na strzykanie w nodze, Afrodyte śmiała się

złośliwie, a tylko sowioka Atene odezwała się cicho:

— Żali prawda dostępna bogom i ludziom?

Tymczasem Hera, pochylona na ramieniu Zeusa, szeptała Olimpijczykowi coś do ucha, a ten mienił się i gaśł na twarzy.

A Prawda wciąż powtarzała:

— Potępcie Kłamstwo!

Chwilowo zaległa cisza, gdy oto obrony Kłamstwa podjął się cynik Dyogenes.

Rzekł on tedy:

— Miłowałem Prawdę i Mądrość, jako to obowiązek filozofów. A żem jej nie ubierał w szczy, tedy mnie psem nazwano, Sokratesa cykuta napojono, a Anaksagora wygnano. Alem też wiedział, że Kłamstwo noszę w sobie, boście mi, bogowie, dali zmysły, które mnie mylą i oszukują. Szukałem prawdy w człowieku i moc sobie latarek napsowałem, alem i człowieka takiego i prawdy nie znalazł. Tu zaś Prawdę pierwszy raz widzę i dziwuję się, bo na Zeusa, jeśli jest między wami, to w was także i z latakąby się jej nie doszukał...

Tu zakrzyczano cynika, że bluźni, tylko sowioka Atene słuchała uważnie i nie przeczyła.

A Dyogenes zaś tak rzecz swoją dalej prowadził:

— Ludzie zatracili granicę pomiędzy Kłamstwem a Prawdą, bo wszystko ich w błąd wprowadza: i zmysły, i przyrodzenie, i wy, bogowie, z mądrą i surową Parthenos na czele. Prawdy się nieraz boją, albowiem staje przed nimi groźna, z błyskawicznym obliczem i chłodnemi, bez współczucia oczyma. Temu zaś, co Prawda mówi, jakoby zawsze ludzi szczęśliwymi czyniła, nie wierzcie, bo oto, powiadam wam, skłamała. Byłem raz u łoża konają-

cego, Parka ujęła już nożyce, Eskulap rozbił swą czarę węzową o ziemię, a z oczu gasnących ulatywały ostatnie iskry życia. Wtedy stanęła przed konającym ta piękna, surowa i bezlitośna Prawda. Wpiła ona swe jasne chłodne źrenice w oczy umierającego, a na bladym obliczu półtrupa odbiło się przerażenie i zimny pot kroplami uperlił mu czoło. Aliści odtrąciło Prawdę to niepozorne i potępione Kłamstwo. Nachyliło się nad konającym i szeptało mu chwilę do ucha. O bogi, czemu nie widzicie tej radosnej rozkoszy, którą ja wtedy widziałem na kamieniejącej twarzy! Kłamstwo uśmiechało się ironicznie, lecz stały wtedy obok niego Litość i Nadzieja... Zaprawdę, kto wtedy czynił szczęśliwym?..

Pomyślał przez chwilę cynik, a potem mówił dalej:

— Jam pies, ale mi wtedy Kłamstwo litośne wybiło zęby. A widziałem je takim i u Salaminy, i na polu Maratońskim; widziałem je innym, ale nie gorszem i pod portykami w szkołach filozofów i u Homerów, i u Fidyaszów, Praksytelesów i w pracowni mistrzów, i poetów, i między dwojgiem ust zakochanych, jak płomienną różę... A choć oszukiwało, zowiąc się nieraz prawdą, dawało często rozkoszną złudę i złudzenie szczęścia. Żali je i takim potępicie?...

Zeus pochylił głowę, a bogowie milczeli.

Kłamstwo zaś stało uśmiechnięte przekornie, z biegającymi oczyma, świecąc tryumfalnie łudzącymi blaskami szychu na swym chitonie. I tylko Prawda surowa, zimna, nieubłagana powtarzała uparcie:

— Potępcie kłamstwo!...

S Ł O Ń C E.

Cynik Dyogenes, siedząc po staremu przed pustą beczką za Styksowemi wodami, lubił rozpa miętywać swoje życie i czyny.

Pijał on po prawdzie Letę, ale że wedle zwyczaju czerpał przygarścią, tedy mu woda przez palce przeciekała i ledwie jaka kropla w gardło wpadła, pamięci zbytnio nie osłabiając.

Filozof psiej mody czuł się dobrze w krainie cieniów, jeno za słońcem wzdychał.

— Tam byle pies—mawiał—na słońcu się wygrzewa, a tu, w ciemności, stare cielsko na nic zwiędnie. Taka-ci gorsza psiej dola! Jeno psi wyrzutek, Cerber, wytrzymać może, a i ten z wściekłości łańcuch zrywa.

I obiecywał poskarżyć się Minosowi, że jeśli inne ludzkie cienie mogą sobie błędzić omackiem, to on filozof psiej natury protest zakłada i wóz słoneczny Apolina choć raz na dzień obaczyć pragnie.

Pewnego razu, gdy Dyogenes pogrążony był we wspomnieniach, przyczłapał do niego sędziwy Charon.

Dziady jakoś wielce przystały do siebie i bardzo często odwiedzały się wzajemnie, gwarząc o tem i o owem.

— Witaj mi, ty stara kukło, szczerbaty Cerberze Cerbera! — powitał Charona pieścotliwie Dyogenes.

— Jak się masz, filozofie psiego ogona! — odkrzyknął Charon.

— Jakbyś zgadł—mruknął Dyogenes—byłem zaiste głupszy od psiego ogona.

A wpadłszy w zadumę, tak prawił:

— Ano, głupi byłem, jako cap! Ale nie dziwota — młody byłem, bo mi ledwie na osiemdziesiątkę klepsydra się obróciła, a człowiek powinien całą wieczność przeżyć, aby jaką taką mądrość osiągnąć. Ezop powiedział, że człowiek chodzi najpierw na czterech nogach, potem na dwóch, a w końcu na trzech, ale mnie się zdaje, że on wciąż chodzi na czterech nogach, najprzód jako prosię, potem jako cielę, potem jako wół, że już nie powiem co gorszego. Najlepiej jeszcze, jeżeli choć zarwie trochę psiej natury.

Westchnął ciężko Dyogenes i rzekł:

— Głupi byłem!

— Jam to zawsze powtarzał! — przytaknął złośliwie Charon.

— Stul pysk, ty pachółku Hadesu, ty podmiataczu Cerbera! — wrzasnął w złości Dyogenes. — Przed tobą filozofować, to jakby kto perły przed świnię rzucał.

— No, no! — uspokajał go Charon. — Paskudną masz gębę i paskudną nieraz filozofię, ale filozofuj. Słucham!

— Tedy jak ten furfant „boski Plato” będą ci stawiał pytania.

— Stawiaj.

— Powiedz mi więc: kiedy byłem najgłupszym?

— Kiedyś szukał człowieka.

— Zaiste nie, albowiem wtedy ulegałem tylko złudzeniu.

— Kiedyś psią modę zalecał.

— I to nie, albowiem wtedy byłem najmądrszym.

— No, to już nie wiem.

— Tedy ci powiem. Pamiętasz, jako mnie niegdyś Aleksander Wielki odwiedził. Stał mi przed beczką, oparłszy się na mieczu, którym węzeł Gordyjski rozciął, i zapytał, czegobym sobie najbardziej życzył, A jam mu rzekł: Nasuń się, albowiem zasłoniłeś mi słońce. Wtedy byłem najgłupszy.

Charon chrząknął i mruknął:

— No, no! nie myślałem, abyś ty, zalecając innym pogardę rzeczy ludzkich, sam ich teraz żałował. Pragnąłeś tedy złota?

Dyogenes uśmiechnął się złośliwie.

— Dzięki ci, sowiooka Atene, są bowiem głupszi odemnie, a Charon z nich najgłupszy.

— No, toś może przestał wzdychać do słońca—rzekł Charon, trochę dotknięty.

— Jeszcze głupszy! Ale ci rzecz jasno wyłożę: Otom był głupi, jeżeli sądził, że Aleksander wraz z całą swoją wielkością może mi zasłonić słońce. Żebyś ty wiedział, jaki on był dumny z tego przypuszczenia, jak mu twarz promieniała i jak się łaskawie usuwał... A przecież złotowłosemu Apolinowi dość było wozem ruszyć, aby jarząca pochodnia spłynęła ponad tę wielkość mizerną—ludzką. Odtąd myślałem sobie długo, dlaczego ja powiedział wtedy takie kapitalne głupstwo. Przecież widział, jak złość ludzka usiłowała nieraz rzucić zasłonę na twarz Apolinową i jak karle plemię Ikarów rwało się tam, kędy Fojbos ognisty płonie; jak przeróżne wielkości wpatrywały się w swój cień długi, pytając głupich Dyogenesów, ażali nie zasłaniają im słońca, a ono oko dnia, ognisko świata, źródło przedwiecznego światła, przędło swe promienie niedościgłe, niedosiężne, niezgaszone...

Charon aż przysiadł z zachwyty i zaklaskał w dłonie.

— Cyniku Dyogenesie, otoś mnie pogodził ze swoją filozofią! Zaiste, powiedziałeś wielką prawdę. A ja, którym patrzył na wiele rzeczy dawnych i społecznych, to ci zaś powiem, że tam, z drugiej strony Styksu, gdzie błędzą jeszcze pod słońcem niedojrzałe dla pól Elizejskich cienie, teraz szczególnie rozmnożyła się megalomania i mania gaszenia słońca. I chodzą ci tam owe wielkości, jedne w przeświadczeniu, że same grzeją i świecą, inne, że byle pikielhaubą zasłonią przeczyste źródło światłości. A tymczasem słońce przedłuża jedynie cienie, aż dotkną one styksowej fali, a ja zapytam o obola. Słońce zaś, jak chodziło, tak chodzić będzie, jak świeciło, tak świecić będzie ponad ludzką wielkością i ponad ludzką żelazną przyłbicą.

Westchnęły dziady, a Dyogenes jeszcze raz powtórzył do siebie, jak echo:

— Czemuż ja wówczas taki głupi byłem!...

Z BAŚNI EZOPA.

Ezop wylegiwał się w słońcu, wielbił bowiem zawsze ów złoty wóz Fojbosa, który sieje światło i ciepło na ziemię, a nadto czynił zadość wrodzonemu lenistwu.

Towarzysz jego, niewolnik Kratias, rąbał drwa figowe i ocierając pot z czoła, rzekł.

— Na czarną Hekate! czemu ty leniu garb swój wygrzewasz, kiedy ja ociekam potem. Ażaliś nie taki niewolnik, jak ja?

Ezop poruszył się leniwie.

— Nie zupełnie taki. Ty masz siłę w pięści' a ja w głowie.

— To rąb głową!

— Rąbię, ale nie drwa.

— No, to ci za to grzbiet tego wyrąbie pan, który cię nie po to kupił, ażebyś się w słońcu wy-legiwał.

Ezop ziewnął.

— Kupił?... Jużem ci mówił, że to ja kupilem sobie pana.

— Żeby ci grzbiet garbował?

— Nie, żeby mnie karmił. Mam zbyt wiele do myślenia, abym się o takie głupie rzeczy troszczył.

Kratias uśmiechnął się złośliwie.

— A tak! masz do myślenia, ażeby się wykpić od roboty... Pamiętam, jakieś to dźwigał w podróży pana ciężki kosz z chlebem. My śmieliśmy się, ale, jak chleb zjedzono, i ty paradowałeś z pustym koszem, zrozumieliśmy twój wykręt. Ale teraz ci się nie uda. Wiesz, pan znów udaje się w podróż?

Ezop przeciągnął się niedbale.

— A dokąd?

Kratias oparł się na siekierze i powiedział:

— A do Delf, składać ofiary bogom. Stenokrates, który podsłuchiwał, jak pan przy biesiadzie rozmawiał z przyjaciółmi, słyszał takie słowa: „Idę, i oto po drodze chcę czynić dobrze. Kto na mnie rzuci kamieniem, ja na niego chlebem.” I polecił wziąć podwójny zapas chlebów. Jak to usłyszałem, podjąłem się zaraz nieść kosze, choć są najcięższe. Wyprzedziłem cię, Ezopie, żałuj!...

I zaśmiał się śmiechem rozgłośnym i grubym.

Ezop słuchał uważnie i odezwał się nagle:

— A są tam po drodze kamienie?

— Jużci są, jak na każdej drodze, ale rzadko, bo będziemy szli gajami oliwnymi i łąkami. A jeśli pan mówił o rzucaniu kamieniem, to myślał chyba o tych, co noszą kamień za pazuchą, jak gomółkę, i walą nim, jak z procy... Tym zaś pan odrzucać będzie chlebem. Powiadam ci, nie ujdziemy i parę stadyj — śmiał się Kratias — a kosze będą próżne... Żałuj!

...Ezop nie żałował, tylko milczał. Gdy zaś wyruszono w drogę, ujrzano go, jak ugiął się pod koszem toczonych kamieni, których nazbierał na wybrzeżu morskiem.

Niewolnicy śmieli się, a najbardziej Kratias, choć stękał pod ogromnym ciężarem dwóch wyładowanych koszów z chlebami.

Aliści nie uszli i paru stajań, gdy w gaju oliwnym napotkali pijanego Ksenostyasa, który zataczając się, potrafił wypadkiem ich pana, a nadto, jako to bywa często z ludźmi, którym Bacchos mózg zamącił, rzucił mu z pod nosa parę wymysłów bez związku. Pan uniósł się gniewem i zaczął się oglądać, ażali gdzie niema kija albo kamienia. Wtedy pod rękę nawinął mu się Ezop ze swoim ładunkiem. Pan chwycił dwa kamienie, co największe i najcięższe i cisnął je z rozmachem w pijanego, a Ezopa pochwalił za jego gorliwość i pilność.

Odtąd Ezop nie odstępował od boku pana a zapas jego kamieni malał co chwila. Spotykano bowiem po drodze nie tylko pijanych i obłąkanych, lecz zawistnych, krzywdzicieli, oszczerców i tych wszystkich, którzy jawnie, czy z za płota rzucają chętnie na innych kamieniem... Nie uszli też i dwóch stadyj, a kosz Ezopa był próżny, on zaś

szedł pogwizdując, a pan jego musiał się już posługiwać tęgim, wyłamany w gaju kijem z oliwy.

...Kratias tymczasem omdlewał pod ciężarem swych koszy, a białe jego chleby przybyły w całości do Delf na objatę bogom.

GYNE.

Sokrates poraz tysięczny powtarzał formułę najwyższej mądrości, zawartą w słowach „*Gnoti seauton*” (Poznaj samego siebie), gdy właśnie weszła żona jego, Ksantypa.

— Na Zeusa! — zawołała, wymachując glinianym garnkiem, który trzymała w dłoni. — Otom najnieszczęśliwsza żona najmędrszego męża! On sobie siedzi spokojnie i duma, a mnie potrzeba pieniędzy.

Zali nie widzisz, że Demeter gaje oliwne już w nową szatę odziała, a mój peplon wytarty? Zali nie widzisz, że sandały mi się na nic zdarły?... Mamli chodzić odziana gorzej, niż Kleonika, której mąż jest tylko mularzem, ale jej pieniędzy nie szczędzi? Mają-li mnie palcami wytykać?... A przytem niema co do garnka włożyć. O czem ty myślisz, ty, ty, filozofie... niedołągo?...

I ujęła się w boki, jako na prawą obywatelkę Aten przystało.

Sokrates zaś rzekł spokojnie:

— O mądrości.

— A mądrość co ci powiada?

— Że nie szata człowieka zdoobi.

— A co mianowicie?

— Mądrość.

— Gadaj tu z głupim!

— Właśnie, skoro wiem, że nic nie wiem, przeto mądry.

— A więc głupi znaczy tyle, co mądry?

— Tak jest, mędrzec znaczy czasami tyle, co głupiec.

— Tedy przyznaję ci, żeś mędrzec.

Odsapnęła Ksantypa i rzekła dalej:

— Owóż miał rację Arystofanes, gdy cię w „Obłokach” wyszydził.

— Arystofanes był błazen.

— Arystofanes poznał się lepiej na tobie, niż ty sam.

— Bo też szczytem mądrości jest poznać samego siebie.

— Czemu więc do tego szczytu nie dążysz?

— Owszem, dążę...

— I znalazłeś w sobie?

— Wielką cnotę: cierpliwość.

— To ja ci więcej cnót wyliczę.

— Słucham cię, niewiasto.

— Jesteś tedy głupiec.

— Już słyszałem.

— I safandula.

— Jeśli to pochodzi od słowa „sofia”, co znaczy mądrość...

— Pochodzi od safandula, co znaczy niedołęga.

— Słyszałem.

— Obol się ciebie nie trzyma.

— Obol nie stanowi szczęścia.

— Z głodu przy tobie umrzeć można.

— Śmierć znaczy wyzwolenie... Ofiaruj koguta...

— Chyba go ukradnę.

— Zabraniam ci, kobieto.

— Wprzód mi dasz pieniędzy. Bo, jeśli chcesz się obchodzić bez jedzenia i błędzić w chmurach, to twoja rzecz, ale ja muszę mieć peplon nowy, nowe sandały i nowy naszyjnik.

— Zono, bądź cierpliwa. Cierpliwość bowiem jest początkiem szczęścia.

— To ty bądź cierpliwy, mnie daj pieniędzy, bo jeśli nie dasz, tedy powiem, że sofści mędrsi od ciebie...

Sokrates zerwał się nagle.

— Kobieto!—zawołał niecierpliwie.

— Że lepiej uczą od ciebie.

Przynajmniej nauczyli Fiddiposa nie płacić długów...

— Zono!

— Że Protagoras więcej umie od ciebie...

— Niewiasto!

— I Georgias także, bo bierze pieniądze i jaśniej wyklada od ciebie...

— Zamilcz!

Ale Ksantypa nie myślała zamilknąć, lecz przeciwnie, podnosząc głos, wołała:

— Tak, jaśniej wyklada!... Georgias jest większym od ciebie filozofem. większym uczonym, więcej ma od ciebie talentów...

Tego już Sokrates nie wytrzymał i wrzasnął:

— Zamilcz, nieszczęś...

Ale nie dokończył, gdyż oto uczuł garnek gli-

niany na głowie, a skorupy posypały się na ziemię, jakoby Zeus spuścił deszcz ceglany.

W onym zaś chaosie mędrzec słyszał nrywane słowa:

— A dasz na nowy peplon i sandały?... Co? Jesteś cierpliwy, a nie chcesz słuchać prawdy, ubliżając jeszcze własnej żonie?... Ucz się cierpliwości, niedołęgo, albowiem cierpliwość jest początkiem szczęścia.

Ale Sokrates nie ocierał czoła i, schylając się nad zwojem, zapisywał metodę sokratyczną zasady filozofii życia:

„Szczytem mądrości jest poznanie siebie samego, początkiem zaś szczęścia jest poznanie własnej małżonki—byle zawczasu...”

DAR OLIMPU.

(BAJKA).

*Ein junges Mädchen trat vor Zeus und flehte:
 „Erhab'ner Gott! Du hast Beredsamkeit,
 Des Worts Gewandte Uebung mir versagt;
 Gib mir ein Mittel, Hoher, diesen gleich,
 Chryсандers Liebesworte zuerwiidern!“
 „Du sollst ein besseres haben!“—sagt der Gott.
 Und er hielt Wort, er schuff—den Kuss.*

G. Bretisch,

OSOBY:

CHRYZANDER.**MELITTA.****EROS.**

(Brzeg gaju z odstępniętym widokiem na okolicę; pod gajem kamień duży. — Niebo się rumieni; świta).

Melitta (wylewa z czary wino na kamień).

Sprawiedliwe bogi, przyjmijcie ofiarę i wysłuchajcie mej prośby... Tobie, gromowładny Zeusie, i tobie, złota Afrodyto, i tobie, różowy Erosie.

Eros (rozgarniając gałęzie wysuwa się z gaju z po za ołtarza).

Piękna Melitto, prośba twoja będzie wysłuchana.

Melitta (cofając się).

Przestraszyłeś mnie, młodzieńcze... Myślałam, że to satyr lub sylen złośliwy. Kto jednak jesteś, że tak śmiało depcesz ten gaj poświęcony?

Eros.

Jakto, nie poznajesz mnie? Jestem—Eros!

Melitta.

Ach, Eros! Znam cię, różowy strzelcze — na moje nieszczęście.

Eros.

Na twoje nieszczęście! Czyżby Chryzander przestał cię kochać?

Melitta.

O, nie!

Eros.

To ty chyba Chryzandra?

Melitta.

I to nie!

Eros.

Więc cóż?

Melitta.

Chryzander mnie kocha, a ja Chryzandra stokroć więcej. Mimo to jestem nieszczęśliwa.

Eros.

Dlaczego?

Melitta.

Ach, srebrno-łuki Erosie, czy pomyślałeś kiedy, że rany od twoich strzał bolą?

Eros.

A ty, piękne dziewczę, czy pomyślałaś również, że ból może być rozkoszą?

Melitta.

O, *athanatos*, to chyba dla was, nieśmiertelnych, lecz nie dla nas, biednych dzieci Deukaliona. Tam, na Olimpie, gorycz podnosi tylko smak słodczy.

Eros.

Klnę się na macierz moją, złotowłosą Afrodytę, pięknie mówisz, Melitto!

Melitta.

Nie żartuj, *athanatos*. Dotykasz najboleśniej-szej mej rany.

Eros.

Na Zeusa, nie rozumiem.

Melitta

To jest właśnie mojem nieszczęściem, że nie umiem wypowiedzieć tego, cobym chciała.

Eros.

A co chcesz wypowiedzieć?

Melitta.

Ile kocham Chryzandra.

Eros.

Ach, tak! A on czy ci to wypowiedział?

Melitta.

O, on co innego. Pieszczoną mową i w harmonijnym rytmie mówił mi to nieraz. Czułam wtedy, jak mnie kocha i czem jestem dla niego. Jeżeli jednak sama pragnę to uczynić...

Eros.

To co?

Meli'ta.

Napróżno, nie umiem!

Eros.

I co robisz wtedy?

Melitta.

Drzę cała i płonę...

Eros.

To także piękna wymowa.

Melitta.

O, *athanatos*, Chryzander snadź pragnie, abym mu miłość swoją wyznała wyraźniej, bo wymowy drzeń i rumieńca nie chce zrozumieć. O ja nie-szczęśliwa!

Eros.

Uspokój się, Melitto, może jakoś zaradzimy
twemu nieszczęściu.

Melitta.

Jakim sposobem?

Eros.

Nauczę cię wymowy miłosnej.

Melitta.

Czy podobna, słodki strzelcze?

Eros.

Przewyższysz Chryzandra.

Melitta.

O, to niemożliwe!

Eros.

Zobaczysz, piękna dziewczeczko. Czy wiesz, kto
uczynił Chryzandra tak wymownym?

Melitta.

Któż to?

Eros.

Ja!

Melitta.

O, *athanatos!* Na moje nieszczęście.

Eros.

To też pragnę złe naprawić.

Melitta.

Czy tylko naprawdę będę dość wymowną?
Chryzander tak pięknie mówi. Cyt! to jego głos!...

(Głos *Chryzandra* z głębi):

Ledwie różanopalcu Heos otworzy podwoje.
Gasną gwiazdy na niebie, lecz wiecznie oczy lśnią twoje.

Próżno boska jutrzienka wdzięki mi swoje odsłania,
Milszaś, dziewczę, i Heos nie zgasi mego kochania.

Melitta.

Czy słyszysz, *athanatos?* Jak gdyby uczył go
sam ślepiec Homer.

Eros.

Tak, tak, widzę, że Chryzander skorzystał
z nauki. Mówi bardzo płynnie.

(Głos z głębi):

Ledwie gwiazda ostatnia złote swe oczy zamruży.
Kielich w słońcu rozchyła rumiany kwiat wonnej róży.

Próżno jednak w purpurze przedemną róża się słania
Milszaś, dziewczę, i kwiaty nie wezmą mego kochania...

Melitta.

Słyszysz, *athanatos!*

Eros.

Słyszę, słyszę... Ale i my postaramy się o coś równie ładnego. Bądź tylko pilną uczennicą, Melitto...

Melitta.

O, będę, będę!

Eros.

Więc słuchaj. Wypowiesz Chryzandrowi miłość swoją harmonijnym heksametrem. On cię porównał do różanopalcej Heos, ty go możesz porównać do Apolina. . A może wolisz do mnie?

Melitta.

Nie, niech już będzie do Apolina. Tyś jeszcze dzieciak, różowy Erosie.

Eros.

Dobrze, nie jestem zazdrosny o Apolina. A teraz słuchaj i powtarzaj.

Melitta.

Słucham pilnie.

Eros *(po chwili namysłu deklamuje).*

Ledwie łucznik Apollo otworzył niebieskie wrota...

Melitta (powtarza).

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota... O, słodki Chryzandrze, o mój jedyny...

Eros.

Co czynisz, Melitto! Nie śpiesz się, gdzież tu heksametr! „O słodki Chryzandrze, o mój jedyny” powiesz potem. Powtórz jeszcze raz (*deklu-
muje*):

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół jego promienna twarz złota...

*Melitta (deklu-
muje).*

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół jego promienna twarz złota...

Ale tu niema mowy o Chryzandrze? O, *ath-
natos*, pozwól, dodam tylko „słodki Chryzandrze!”

Eros.

Popsujesz heksametr. A to z ciebie niecierpliwa uczenica! Poczekaj, będzie i o Chryzandrze, tylko recytuj wiersz z większem uczuciem.

Melitta (uparcie).

A możeby tak powiedzieć:

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół twoja, Chryzandrze, twarz złota...

Eros.

Melitto, w ten sposób nie nauczysz się nigdy. Przed chwilą mówiłaś, że ci brak wymowy, a teraz jesteś bez miary wielomówna.

Melitta.

Bo ja tylko przy Chryzandrze na wymowę zdobyć się nie mogę.

Eros.

Otóż widzisz. Jak się nauczysz przy mnie, wy, recytujesz potem śmiało wyznanie Chryzandrowi, który się dowie, jak go kochasz.

Melitta.

Więc mnie naucz prędzej, złoty Erosie.

Eros.

Tylko nie przerywaj, Melitto. Powtórzę ci raz jeszcze:

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół jego promienna twarz złota.

Melitta (powtarza).

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół jego promienna twarz złota.

Eros (dokłamuje).

Próżno jednak Apollo boską mi twarz swą odsłania,
Milszyś, luby, i bóg sam nie zgasi mego kochania...

Melitta (*powtarza*).

Próżno jednak Apollo boską mi twarz swą odsłania,
Milszyś, luby, i bóg sam nie zgasi mego kochania...

E, to nie jest takie ładne... Chryzandra piosenki są ładniejsze

Eros (*śmiejąc się*).

Wiem, wiem, Melitto! Chryzandra piosenki będą dla ciebie zawsze ładniejsze.

Melitta.

Nie gniewaj się, różowy Erosie, ale nie wierzę, abyś ty mógł uczyć Chryzandra. On tak z siebie nuci.

Eros.

Nie będę cię przekonywał, Melitto, ale wierz mi tymczasem, że twoja piosenka wystarczy. Tylko ją wypowiedz ładnie.

Melitta.

O, nic łatwiejszego (*deklamuje*):

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół jego promienna twarz złota.

Próżno jednak Apollo boską mi twarz swą odsłania,
Milszyś, luby, i bóg sam nie zgasi mego kochania.

Eros.

Bardzo dobrze!

Melitta (*x żalem*).

Ale to nie to!

Eros.

Co: nie to?

Melitta.

Nie to, cobym chciała powiedzieć Chryzandrowi.

Eros.

A cóżbyś chciała powiedzieć?

Melitta.

Ja nie wiem... Ale chciałabym odsłonić mu całą swą miłość, powiedzieć mu, że go kocham więcej ponad wszystkie bogi olimpijskie...

Eros.

Ho, ho, to ci nie dość Apollina? Jak widzę, robisz postępy w treść, chociaż ci jeszcze brak formy.

Melitta.

Ty żartujesz, Erosie, a jabym tak chciała, tak pragnęła...

Eros.

Wy, śmiertelni jesteście doprawdy nienasyćeni. Każdy z was chciałby być Prometeuszem

i skraść choć jeden promyk z Olimpu. Zostawcie coś nam, bogom... Wasz świat jest światem pragnień, pożądań... Ale to filozofia! Dajmy temu pokój i wróćmy do naszej lekcyi wymowy. Więc Melitto, słuchaj dalej.

Melita (*nasłuchując*).

Ach, on tu idzie.

Eros.

Kto?

Melitta.

Chryzander.

Eros.

Wybornie! Wypowiesz mu zaświeża, com cię nauczył. Pamiętasz?

Melitta.

O, pamiętam.

Eros.

Zresztą będę ci z za krzaka podpowiadał (*cho-
wa się za ołtarz*).

Melitta

Jak mi serce bije!

Eros.

Tylko się nie pomył!... Śmiało!

Melitta.

Złoty Erosie, ja mu tylko dorzucę kilka nazw pieśzcotliwych.

Eros.

Dobrze, ale jak skończysz wiersze.

Melitta.

Powiem mu: słodki, luby, miły Chryzandrze!

Eros.

Dobrze, dobrze! Tylko się nie oddalaj zbyt od krzaka, ażebyś mnie słyszała.

(Wchodzi Chryzander, Melitta stoi zmieszana i powtarza pocichu wiersze).

Chryzander.

Słodka moja Melitta wraz z jutrzenką składa bogom ofiary.

Melitta.

Tak... Chryzandrze!

Chryzander.

Srebrnołuki Apollo, gdy wypłynie z za lasu, gotów porwać piękną Melittę.

Eros (*z za krzaka*).

Teraz czas, rozpoczynaj Melitto.

Melitta.

O, Chryzandrze...

Chryzander.

Czy słyszałaś, jak szepce wiatr poranny w świętym gaju? To nieśmiertelni bogowie podziwiająją twoją urodę. Melitto! Mirt i laur pochylają się przed tobą, a róże bledną wobec twej krasy.

Melitta.

Chryzandrze...

Chryzander.

Kiedym dziś w noc cichą, tam przy swoich stadach, patrzył w to lazurowe niebo, złote gwiazdy uśmiechały się do mnie, kwiaty pieściły mnie wonią, las kołysał swym słodkim szumem, a nimfy w srebrnej mgły tumanach obsypywały mnie perłami rosy. Ale czem są te gwiazdy, te kwiaty, te cuda nieba i ziemi bez ciebie, Melitto? O, słodka moja, o jedyna, jak ja cię Kocham!

Melitta.

Chryzandrze!...

Eros (*z za krzaka*)

Melitto, czyś oniemiała? Odpowiedz-że mu!

Chryzander.

Ale Melitta snąć marzy o niebianach, bo dla Chryzandra niema nawet ani jednego słówka dobrego.

Melitta.

Chryzandrze... ja... słyszałam twoje piosenki.

Chryzander.

Słyszałaś je, ukochana moja. Czy ci się podobają?

Melitta.

O... tak!... bardzo!

Chryzander.

Nauczył mnie ich las swym rytmicznym, harmonijnym szumem. Co dnia słyszę, jak Eol stroi tam swą śpiewną lutnię.

Eros (z za krzaka).

Niewdzięczny! o mnie zupełnie zapomniał!

Chryzander.

Chcesz, Melitto, powiem ci nową piosenkę
(*dekluuje*):

W róży pszczoła ¹⁾ się buja, sam Eros przed nią się chroni.
Róża pszczołę zdobywa darem słodczy i woni.

¹⁾ Pszczoła po grecku: *melitta*.

Pszczoła żądło swe chowa, w purpurę róży spowita.
Eros próżno się boi, nie rani słodka Melitta.

Melitta.

Chryzandrze, ja... także...

Chryzander.

Co, Melitto jedyna?

Melitta.

Ja ułożyłam także piosenkę.

Chryzander.

O, powiedz mi ją, powiedz...

Melitta.

Więc słuchaj:

Ledwie łucznik Apollo... *(mieszka się)*.

Nie, nie mogę, nie pamiętam już...

Eros *(z za krzaka podpowiadając)*.

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota... No, mówże dalej.

Melitta.

Nie mogę, nie mogę...

Chryzander.

A więc to do Apollina! Strzeż się, Melitto, bogowie są zazdrośni o swoje królestwo. Choćby Apollo zeszedł dla ciebie na ziemię, inni zagrodzą ci drogę na Olimp.

Melitta.

Ależ, Chryzandrze...

Chryzander.

Powiedz: biedny Chryzandrze, pogardzony Chryzandrze. Wracam do moich stad, na wzgórze. Tam mnie złote strzały Apolina łatwiej osiągną, albowiem bluźnić będę złotemu bogu.

Melitta.

Chryzandrze...

Chryzander.

Zostań, Melitto, oby ci bogi były łaskawe (*odchodzi*).

Melitta.

O, ja nieszczęśliwa! (*placze*).

Eros (*wychodzi z za krzaka*).

Jak widzę, na nic moja nauka! A toś się spisała! Wstyd mi za ciebie!...

Melitta (*placząc*).

O, ja nieszczęśliwa! Jego ten Apollo zabije!

Eros.

Nie bój się. Wóz Apollina ledwie wypłynął z morza, nic nie będzie twemu Chryzandrowi. Co ci się jednak stało? Czyś zapomniała?

Melitta.

Nie, ale nie mogłam mówić... Bogowie nie obdarzyli mnie darem wymowy.

Eros.

Nie bluźnij, dziewczyno! Bogowie dali ci najlepszego nauczyciela wymowy, jakim ja jestem, tylko, że wy, dziewczęta, nie umiecie w niczem zachować miary. Mówicie albo za dużo, albo zamało.

Melitta.

Widocznie Chryzander nigdy się już nie dowie, jak go kocham.

Eros (*zamysłony*).

Zaczekaj, jest jeszcze jeden sposób.

Melitta.

Jaki? Ja już w żaden nie wierzę.

Eros.

Widzisz, Melitto, dla ciebie zdradzę tajemnicę Olimpu. Nikt ze śmiertelnych tajemnicy tej nie posiadał. Ty będziesz pierwszą.

Melitta (*przez łzy, z ciekawością*).

O, powiedz mi tę tajemnicę, Erosie.

Eros.

Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

Melitta.

O, ja jej nikomu nie zdradzę... powiem tylko Chryzandrowi.

Eros.

Nie o to chodzi (*n. s.*) Zeus w swoich wycieczkach na ziemię prędzej, czy później, sam tę tajemnicę zdradzi (*głośno*). Musisz mi przysiąc, dziewczyno, że powierzonego ci daru bogów używać będziesz jedynie w imię miłości.

Melitta.

Przysięgam na złotą Afrodytę.

Eros.

Wierzę ci! Czy słyszałaś o ambrozyi i nektarze?

Melitta.

Słyszałam. To posiłek bogów.

Eros.

Jest to posiłek i rozkosz nieśmiertelnych, a składa się z wielu pierwiastków. Jednym z nich jest—pocałunek.

Melitta (z ciekawością).

Pocałunek? Co to takiego?

Eros (z uśmiechem).

Za chwilę dowiesz się (*ogłąda się*). Chodź tu, tylko cichutko (*zbliża się do krzaka i rozchyła gałęzie*). Co tam widzisz?

Melitta.

Gniazdko słowicze.

Eros.

A w gniazdku?

Melitta.

Ptasząt dwoje.

Eros.

Przyjrzyj się im. Tylko ostrożnie, żeby ptasząt nie spłoszyć.

Melitta.

Ach, te śliczne ptaszyny... dotykają się dzióbkami...

Eros.

Widzisz—to pocałunek.

Melitta (*zdziwiona*).

To pocałunek!

Eros.

Chodź jeszcze tutaj. Widzisz te dwie róże?

Melitta.

Widzę.

Eros.

Uważaj na nie.

Melitta.

Wiatr je pochyla ku sobie... O! dotknęły się teraz listkami korony, aż spadło kilka srebrnych kropeł rosy.

Eros.

To pocałunek!

Melitta (*stoi zamyślona*).

To pocałunek?

Eros.

Czy widziałaś kiedy twarz swoją?

Melitta.

Widziałam tam, w strumieniu.

Eros.

Wiesz, jakie masz usta?

Melitta (zawstydzona).

Bogowie nie kazali mi zazdrościć róży...

Eros.

A moje usta, jak ci się zdają?

Melitta.

Są rumiane, ale nie takie, jak Chryzandra.

Eros.

To nic, pierwszy jednak pocałunek da ci sam bóg. Pochyl ku mnie swe usta, Melitto (*obejmuje ją i całuje*). Oto—masz!

Melitta.

O! *athanatos*...

Eros.

Jeśli cię teraz słowa zawiodą, dziewczyno, użyj tego rodzaju wymowy. Dar Olimpu nie za-

wiedzie. W pocałunku możesz zamknąć całą głębię swej miłości, możesz powiedzieć Chryzandrowi wszystko, wszystko, to nawet, że kochasz go ponad same bogi olimpijskie. Czy pojmujesz mnie, dziewczyno?

Melitta (*stoi zamyślona*).

(Głos Chryzandra w głębi).

Ledwie gwiazda ostatnia złote swe oczy zamruży,
Kielich w słońcu rozchyła rumiany kwiat wonnej róży,
Próżno jednak w purpurze przedemną róża się ślania,
Milszaś, dziewczę, i kwiaty nie wezmą mego kochania.

O, Melitto, Melitto moja!...

Melitta (*budzi się z zamyślenia*).

Dzięki ci, boski Erosie! Odtąd ołtarz twój
stale wieńczyć będę różami (*biegnie w głąb*). Chryzandrze, Chryzandrze!

Chryzander (*z głębi*).

Wołasz mnie, piękna Melitto!

Melitta.

Chodź tutaj, prędzej, Chryzandrze.

Eros.

Czy ci potrzeba podpowiadać, Melitto?

Melitta.

O nie, nie trzeba, boski Erosie.

Eros.

Więc zostawiam was samych. Pamiętaj tylko, dziewczyno, nigdy nie kłam pocałunkiem! *(usuwa się za ołtarz i tam zatrzymuje się przez chwilę).*

Chryzander *(wchodząc).*

Jestem, już jestem, Melitto!

Melita *(biegnie ku niemu i zarzuciwszy mu ręce na szyję, całuje w usta).*

O, Chryzandrze!

Chryzander.

Nieśmiertelne bogi, więc mnie kochasz, Melitto! dzięki ci, złota Afrodyto, dzięki, boski Erosie! *(pozostają przez chwilę w objęciu).*

M U C H A.

(Humoreska).

Firma Kuklinowskiego miała reputację ustaloną w miasteczku, jako pierwszorzędny „Handel win, towarów kolonialnych i delikatesów”. Był tam jeszcze jeden „handelek”, oraz cukiernia, która wydawała befsztyki i piwo—ale obiedwie te jadłodajnie gasły wobec potentata gastronomicznego, jak niknie marna płotka wobec wieloryba.

Porównanie to jest tem więcej uzasadnione, iż szyld firmy stanowił... wieloryb, a raczej olbrzymi metalowy śledź pocztowy, którego całą długość, jak niegdyś Jonasz, zajmował sam „Kuklinowski”, złotemi wypisany głoskami.

Odpowiednio do zamożności firmy urządzona była wystawa sklepowa. Piętrzyły się tu całe piramidy flaszek win wszystkich krajów, stały baterie nalewek i wódek, wdzięczyła się Benedyktyna obok Curaçao, Vanilla obok Chartreuzy i t. d.

W środku tego oszalowania leżały krążki i baryłki sera, stała beczułka z kawiozem i puszki z marynatami, widać było flaszeczki z oliwą, a wreszcie obficie rozrzucone bakalie.

Te ostatnie zwłaszcza delicye wzbudzały prawdziwy zachwyt w małoletnich Mendelkach i Chaimkach, którzy w chwilach wolnych od robienia „gwałtu” na środku rynku zatrzymywali się tu i pogrążali przed oknem w niemej kontemplacyi.

Ale najefektowniejszym i w największe zdumienie pogrążającym ów drobiazg szczegółem była ustawiona przed oknem duża czarna deska, na której skorupkami od ostryg wypisane było „Ostrygi”.

— *Wus is?*—wypytywali się wzajemnie młodzi spektatorowie dotykając ręką skorupek.

Raz jeden z nich przyniósł reszcie swych towarzyszków zagadkowe wyjaśnienie, że to są takie „szlimakies, które *uni* jedzą”. *Uni* — to znaczyło: wszyscy smakosze na świecie.

— *Ajej!*—zawołali wtedy towarzysze z obrzydzeniem.

Co prawda, ostryg w miasteczku nikt nie jadł i w handlu ich nigdy nie było. Tablica stanowiła tylko małą reklamę i ozdobę, którą główny repre-

zentant firmy kupił gdzieś i ustawił gwoli większej powagi.

Powagę też firma miała. Klientela jej składała się z elity miejscowej i przyjezdnego obywatelstwa, które tu *antiquo modo* pokrzepiało siły po walnych naradach z kupcami i bankierami miasteczkowymi.

Po przejściu ciężkich nieraz opałów kieliszek dobrego węgryna nie jest rzeczą do pogardzenia.

A węgryn „u Kuklinowskiego” był w istocie dobrym. Właściciel handlu, dawny kiper, na winie się znał i chodzić koło niego umiał. To też był jeneralnym dostawcą całej okolicy, której dostarczał taniego wina na garnce. Na większe uroczystości miał wina lepsze, a, jak fama głosiła, w głębokościach jego piwnicy kryły się omszałe butelczyny, pamiętające jeśli nie czasy odsieczy wiedeńskiej, to przynajmniej ostatniego Sasa. I to już dla wina wiek bardzo poważny.

Godzina 11-sta wybiła na ratuszowym zegarze, kiedy, skręcając z bocznej ulicy, wtoczyła się na rynek bryczka i stanęła przed handlem Kuklinowskiego. Z bryczki wygramolił się otyły jegomość w płóciennym pudermantlu i podążył do sklepu. Był to pan Maciej, dziedzic pobliskiej wioski

— Niech będzie pochwalony!—rzekł tubalnym głosem pan Maciej, zdejmując czapeczkę i krocząc w stronę izby, sąsiadującej ze sklepem.

— Do stopek się ścielę szanownego pana dobrodzieja! — zabrzmiał głos w odpowiedzi i jednocześnie dwie głowy pochyliły się: jedna nad kantorkiem, druga nad bufetem, głowa subiekta i głowa pryncypała.

Pan Maciej musiał być tu dobrze widzianym, gdyż wślad za nim podążyła drobna figurka samego właściciela.

— Pan dobrodziej śniadanko? — mówiła figurka, zacierając ręce i robiąc *chasséz* nogami. — Jest befsztyk, polędwica, może być ryba...

Pan Maciej był widocznie nieco strapiony.

— Przekąsić przekąszę — rzekł — ale potem. Najprzód zawołajcie mi tu Berka.

— Pan dobrodziej pszeniczkę?

— Phy, trochę tam pszenicy i żyta. Tylko dziś ceny dają!

— Nie tak, jak dawniej.

Pchnięto tedy chłopca sklepowego do Berka, a pan Maciej, zażądawszy papieru i pióra, pograżył się w wyliczeniach.

Nareszcie zjawił się tyle pożądanym Berek, poważny kupiec, w czystym i ładnie skrojonym hałacie, z czapką aksamitną w ręce.

Po przywitaniu wyniosłem ze strony pana Macieja i uniżonem ze strony kupca zaczęły się układy.

Nie będziemy przytaczali tu całej tej walki na słowa, przekonywających argumentów pana Macieja i jeszcze wymowniejszych dowodów Berka; nie będziemy rysowali perypetyi owego targu, sprzeczek o termin dostawy — zatrzymamy się tylko na chwili, kiedy tęczowe banknoty zaczęły wyłaniać się z grubego pugilaresu kupca zbożowego.

Po podpisaniu kontraktu i zgarnięciu banknotów pan Maciej z inną już miną zawołał, aby mu podano śniadanie.

Gdy subiekt kręcił się około nakrywania stołu, w sklepie odezwał się głos jakiś:

— Każ pan tu zawołać Berka. Zaczekam w pokoju.

— Jak Boga kocham, Kostuś!—mruknął pan Maciej i zwrócił się twarzą ku drzwiom.

Do pokoju wkroczył mężczyzna wysoki, suchy, z miną kwaśną, wąsami obwisłymi.

— A sąsiad co tu robisz? — zagadnął pana Macieja, wyciągającego do niego rękę na powitanie.

— Berek tylko co ztąd wyszedł.

— Sprzedawałeś sąsiad? A po czemu?

— Po jedenaście.

— Psie pieniądze. Ale co robić. Potrzeby są.

I rozgadali się sąsiedzi o biedzie i ciężkich czasach, aż znów wsunęła się do pokoju postać Berka.

Teraz powtórzyła się w skróceniu scena poprzednia.

Cena już była ustanowiona, chodziło więc tylko o porównanie próbek. Po długim przesytywaniu żyta i pszenicy, oglądaniu ich przed oknem, smakowaniu w ustach, drugi kontrakt został podpisany i znów tęczówki z pugilaresu kupca przeszły do kieszeni pana Konstantego.

Nic już nie przeszkadzało, aby zasiąść do śniadania.

Na stole pojawiła się tedy starka i przekąski, potem befszytk, a wreszcie butelczyna węgierskiego.

Ku końcowi butelki humory współbiesiadników „wyróżowiały,” choć pan Konstanty, śledziennik i nieco pesymista z natury, czasami jeszcze postękiwał.

— Jak się pomyśli— odezwał się — że ojcowie

nasi nie takie wino pijali za swą sandomierkę, to, doprawdy, aż człowieka tu ściska.

— Ba, ba!

— Nieboszczyk ojciec mój zostawił mi kilka butelek stuletniego z górą węgrzyna. Co to było za wino!

— Nie taka lura, co?

— Dość było otworzyć butelkę, aby myszka na cały pokój się rozeszła.

— Piłem i ja raz także. Ciemne, lepkie, gęste.

— To, to. A nic do głowy.

— Tylko nogi, jakby wmurowane w ziemię.

— To mi wino!

— Podobno Kuklinowski ma takiego węgrzyna.

— Et, fabrykowanego. Gdzie teraz go szukać, chyba u wielkich panów.

— Zaklinał się, że kupił go gdzieś na Litwie.

— Może być, ale zawsze nie bardzo w to wierzę.

Rozochocony już dobrze pan Maciej krzyknął:

— Panie Kuklinowski!

— Sługa pana dobrodzieja! Czem mogę służyć?—zapytał pryncypał, zacierając, jak zwykle, ręce i robiąc *chasséz* nogami.

— Masz pan podobno starego węgrzyna—bardzo starego.

— Mam, panie dobrodzieju—rzekł z dumą Kuklinowski—wino z roku 1760.

— *Anno Domini milesimo septingentesimo sexagesimo*—ho, ho! Autentyk?

— Jak można wątpić, panie dobrodzieju — rzekł z urazą pryncypał—sam je kupowałem ze znacznej na całą Litwę piwnicy.

— Ano, to dawaj je pan tutaj.

— Sąsiedzie—upominał pan Konstanty—zbytki!... Chyba do połowy!

— Za nic. Wypijemy tu po parę kieliszków, a resztę dopije się w domu z sąsiadem przy jakiej okazji.

Tymczasem pan Kuklinowski wyprawił się po starego węgrzyna. Nie było go widać z dobry kwadrans, aż wreszcie wkroczył do pokoju, niosąc ostrożnie omszałą butelkę, którą uroczyście postawił na stole.

Kompani spojrzeli na nią z szacunkiem i uczcili ją jednomyślnie przez powstanie:

— Staruszka, co?—zawołał pan Maciej.

— Tyle lat!... — mruknął melancholijnie pan Konstanty.—Jakie to ona czasy przypomina!...

— Stoi u mnie nieruszana — objaśnił Kuklinowski—od założenia sklepu, to jest dobre lat dwadzieścia kilka.

— No, patrzeć się na nią nie będziemy—zakonkludował pierwszy pan Maciej — otwórz-no pan, panie Kuklinowski.

Korek strzelił, a pan Maciej wyciągnął rękę, aby w charakterze amfitryona nalać kieliszki. Przedtem jednak przytknął szyjkę do nosa i pociągnął szeroko zapachu myszki.

— Silny!—rzekł, podsuwając szyjkę panu Konstantemu.

Ten pochylił się nad butelką, lecz naraz krzyknął:

— Mucha!

— Nie może być!

— Jak mi Bóg miły! Nie wpadła przecież.

— Zakonserwowała się. To mi okaz, stuletnia mucha.

— Ale, jak Boga kocham, żywa!

— Prawda, rusza się.

— Więc ma sto lat i żywa.

— Matuzal.

Tu pan Konstanty parsknął śmiechem i dodał, rzucając zjadliwe spojrzenie pod adresem zmieszanego Kuklinowskiego.

— Autentyk... *anno milesimo septingentesimo sexagesimo...* Prawda, panie Kuklinowski?

— Co to ma znaczyć? — zapytał ostro pan Maciej.

— Doprawdy, nie wiem... — tłumaczył się coraz więcej zmieszany właściciel handlu — chyba ożyła... aa... w winie... To tak konserwuje...

Czyż potrzeba dodawać, że wina nie wypito, a mucha z r. 1760 ciemną plamą zaciężyła na ustalonej reputacji „Handlu win i delikatesów” pana Kuklinowskiego?

NA WYJEZDNEM.

(Z opowiadań wujaszka).

Z ganku wiejskiego dworku wyszedł młody mężczyzna i ułożywszy ręce w tubę, krzyknął:

— Pietrek!

W stronie zabudowań gospodarskich i stajen zatupołało i za chwilę w odległej jeszcze bramie zjawiała się postać z czapką w ręce.

— Jezdem!—odezwała się postać.

— Zaprzęgaj!

— Zaro?...

— Wyjedziemy póki jeszcze widno.

— Rozumiem.

Podczas tego krótkiego dyalogu na progu gan-ku zjawiała się jeszcze jedna postać, a był nią znów mężczyzna, wysoki, szczupły, z twarzą serdeczną, wąsem zawieszonym i śmiejącymi się oczami.

— Czego się śpieszysz? Ot, zostałbyś lepiej, pogawędzilibyśmy jeszcze—zagadnął młodszego.

— Zostaćbym został, ale zanosi się dziś na noc ciemną, a przyznam się wujaszкови, że tłuc się po nocy nie bardzo lubię. Zresztą ten kawałek drogi na Zarwańcu...

— Et, nie gadałbyś! postawiłem wam płot i czegoż jeszcze chcecie?

— Ba, płot!... gdyby kołem zawadzić i płotby dyabli wzięli i ten, coby go zawadził, przejechałby się na łeb z wysokości jakich dziesięciu łokci.

— To też nie trzeba zawadzać.

— Właśnie dlatego za dnia chcę wyjechać. Pietrek niezły furman, ale w nocy do niczego. Co chwila kiwa się na koźle i drzemie. Żeby go kułakiem w kark nie walić, spałby samopas. Tego tylko potrzeba na Zarwańcu.

— Nie namawiam cię, abyś ryzykował, ale mógłbyś jeszcze zostać. Zarwaniec ztąd blisko, a dnia masz dobre półtorej godziny. Przejedziesz o zmierzchu, wszak o to ci chodzi? Dalej droga,

jak po stole. No, zostań! Nie mogłem się z tobą nagawędzić, to choć teraz sobie odbijemy.

— Kiedy już Pietrek zajeżdża.

Rzeczywiście przez wrota od podwórza gospodarskiego z fantazyą zajeżdżała para siwoszów, ciągnących lekki wózek.

— To i co, Pietrek poczeka. Wyślę mu kieliszek wódki i kawał chleba, to będzie kontent.

— Chleba, dobrze, ale co do wódki, *veto*, musiałbym potem jeszcze bardziej odbijać sobie pięści.

— No, to dostanie herbaty, ty zaś zostajesz? Nie będę cię trzymał dłużej nad godzinę.

— Zgoda na godzinę, wujaszku.

Weszli obydwaj na ganek, gdzie na stole stał jeszcze podwieczorek, i zasiedli na krzesłach.

— Nalej sobie kieliszek wina, zapal cygaro a ja ci opowiem przygodę, którą przypomniały mi twoje obawy o Zarwaniec.

Byliśmy raz na polowaniu w Zalesiu. Aby ci uprzytomnić położenie, wspomnę, iż dwór zaleski stał na górze, z której prowadziła kręta, usypana drobnymi kamieniami droga. Był tam również rodzaj płota, ale podobno nie większą wzbudzał ufność, niż mój na Zarwańcu. Na dobitek u dołu, gdzie się droga prostowała, ciągnęła się trytwa z tak rozpaczliwymi dziurami, dołami i wybojami, że przejechanie jej bez złamania osi lub wywrócenia można było uważać za *chef d'oeuvre* sztuki furmańskiej.

Ileż to razy mówiłem panu Maciejowi:

— Zasyp do dyabła raz te doły, bo zostaniesz tu odcięty od świata, jak pustelnik. Nikt do ciebie nie przyjedzie.

— Nie bój się — odpowiadał — jak się sanna

uściele, z pierwszą ponową przyjedziecie na polowanko.

Zresztą podobno coś tam nawet robił, aby wyrównać drogę; zwoził faszynę, sypał ziemię, ale po pewnym czasie dziury i doły odradzały się, jak feniksy starożytne.

Byliśmy tedy u pana Macieja na polowaniu, bo niema polowania, jak u niego.

Konserwował, prawda, dziury na drodze, ale też i umiał konserwować zwierzynę w obszernych lasach swoich. Pilnował jej, jak oka w głowie, kłusowników tropił, szkodników łowił, służbę, leśniczych, strzelców miał wytresowanych, więc ani jeden kłusownik nie mógł pojawić się w lesie, ani jeden kundys nie gonił bezkarnie zajęcy, ani jeden ptak drapieżny nie krył się przed jego dubeltówką.

To też polowanie u pana Macieja było rajem dla myśliwego.

Tym razem zebrało się jakoś liczniejsze grono. Gospodarz wystąpił *honeste*, i gdyśmy pod wieczór wstawali od obfitej uczyty, byliśmy już wszyscy w różowych humorach. Część rozjechała się zaraz, część zaś towarzystwa zasiadła do kart.

Pomiędzy tymi ostatnimi byłem i ja, nie dlatego, abym karty lubił, lecz, że mnie gwałtem zatrzymano, nie przymierzając, jak ja dopiero co ciebie.

Sytuacja była o tyle jeszcze podobniejszą, iż wybierałem się wcześniej również z obawy owej karkołomnej przeprawy po stromej drodze z góry i po wyboistej trytwie. Zakrzyczano mnie jednak.

— Co ci się stanie, czego się boisz?—perorował jeden z pozostających również;—chcesz, to cię sam przewiozę. Znasz mego Franka, toć to mistrz

w swoim rodzaju, przejedzie ci czterema końmi po kładce.

I rzeczywiście Franek pana Kajetana — tak się nazywał robiący mi ofertę — miał taką reputację. Sam zaś pan Kajetan szczycił się reputacją zupełnie innego rodzaju. Był to znany utracysz: część fortuny przeszastał już na stajnię i różne pańskie wybryki, a reszta szła w ślady swej poprzedniczki.

Konie miał zawsze przepyszne, jeździł też stale czwórka i to z wielką fantazyą. Owa znakomitość, Franek, wymustrowany był odpowiednio. Gdy pan Kajetan zakomenderował:

— Po babie! marsz, marsz!

Franek zaciął konie i ruszał co koń wyskoczy. Powodował zaś końmi z niezwykłą wprawą i zręcznością, bo pan Kajetan płacił dobrze, ale niezręcznej służby cierpieć nie mógł.

Jakkolwiek oferta pana Kajetana nie uspokoiła mnie zupełnie, nie mogłem się przecież wymówić usilnym prośbom gospodarza i zostałem.

Gra przeciągnęła się dość długo, a gdyśmy nareszcie wstali, noc była kompletna.

Ostatecznie mieliśmy wyjeżdżać, ja i pan Kajetan, reszta towarzystwa nocowała.

Wychodzę przed ganek, a tu ciemno, choć oko wykol.

— No! — myślę sobie — dalibóg i Franek nie pomoże.

Zajechały bryczki, zajechał i Franek pierwszy. Patrzę, a on się jakoś za wymownie chwieje na koźle!

Podchodzę do niego i pytam:

— Spileś się, hultaju?

— Żebym jutra nie dożył, jakem pił choć krzynę, żebym tak trupem padł...

— Oho! źle, klnie się, a wódka bucha od niego, jak z beczki.

— Sąsiedzie, jedziemy—woła pan Kajetan.

— Za nic.

— Cóż znów.

— Franek pijany.

— A szelma! Ale to nic, on i po pijanemu pojedzie dobrze.

— Po kawalersku, marsz, marsz!... wiem. Nie myślę próbować.

— Panie Kajetanie — molestuje gospodarz — dajże dziś przynajmniej pokój swojemu marsz, marsz!

— Sąsiedzie, pojedziemy wolno... noga za nogą. Siadaj.

Nie należą do zbyt ostrożnych, ale ryzykować tym razem nie chciałem.

— Wybacz, panie Kajetanie, lecz propozycji twej nie przyjmę. Ot, mój Jędrak trzeźwy, siadaj do mnie, pojedziemy.

— Nie przyjmujesz sąsiad mojej ofiary, to ja twej nie przyjmę.

Siadamy tedy każdy na swój wehikuł, a ja jeszcze monituję Jędrka.

— Żebyś mi jechał wolno, a pamiętaj, trzymaj się k'sobie, tam mniej dziur.

Tymczasem słyszę, jak pan Michał zaleca panu Kajetanowi ostrożność i prosi go, aby jechał wolno.

— Pojadę, jak po smole — odpowiada tenże, siedząc już na wózku.

Franek ruszył, lecz zaledwie minął wrota, rozlega się komenda.

— Licowym po bacie. Rznij kobyłę, bo leniwa i marsz, marsz!

Strzelił bat, zaturkotało, zahuczały kamienie. Gospodarz struchlał.

— Jezus, Marya! Waryat, kark skręci, nogi połamie.

Potem zwrócił się ku stajniom.

— Konia!—krzyknął.—Grześ niech siądzie na drugiego, wziąć pochodnię!

— Jędreku, ruszaj kłusa!—zawołałem i ja — może się przydamy.

Pojechaliśmy po stromej drodze. Bryczka coraz się przechylała i trudno było sobie wyobrazić, aby ktokolwiek, jadąc tak, jak pan Kajetan, mógł wynieść całe kości.

Za chwilę mignął czerwony słup światła i pan Michał z Grzesiem przegalopowali około nas.

— Ostrożnie — zawołałem teraz na Jędrka — tamtym już pomoc poszła, a na nic im się nie przyda, że i my gdzie na łeb zlecimy.

Wyjechaliśmy nareszcie na trytwę. Tu cicho było i tylko zdala błyszczało chwiejące się i migotliwe światło pochodni.

— A więc zjechał szczęśliwie z góry — pomyślałem sobie—no... no...

Nie życzyłem panu Kajetanowi nic złego, lecz byłem pewny, że tam, gdzie błyszczy owo światelko, leży on i Franek.

Tymczasem na wyboistej drodze bryczka nie przestawała kołysać się ryzykownie, jak łódź na wzburzonym morzu.

— Jędreku, ostrożnie, trutniu... k'sobie... od siebie — komenderowałem, pamiętając dość dobrze o wybitniejszych dołach i wybojach.

Zwolna zbliżaliśmy się do końca cierniowej drogi, a czerwone światelko również rączo zbliżało się do nas.

Nagle stała się rzecz niespodziewana.

Gdy z cieniów wynurzyły się ku nam postacie pana Michała i Grzesia z pochodnią, koło bryczki zapadło w jakąś otchłań i w jednej chwili znalazłem się niemal pod kopytami nadjeżdżających koni.

Pan Michał wybuchnął gwałtownym śmiechem, nawet Grześ zatykał sobie gębę.

— Ha, ha, ha — śmiał się pan Michał — ha, ha, ha! Kajetan przejechał *en carrière* z pijanym Frankiem, a sąsiad... ha, ha, ha! a sąsiad pomimo całej ostrożności leżysz... ha, ha, ha...

Wygramoliłem się z pod siedzenia i wstałem, bo nic mi się nie zrobiło, ale zły byłem okropnie.

„Jędrak, żeby cię wszyscy dyabli!” — było to, co nareszcie mogłem wykrztusić z siebie.

Grześ pomagał Jędrkowi podnosić bryczkę, a pan Michał, śmiejąc się ciągle, otrzepywał mnie z błota.

— Ale nic się przecie sąsiadowi nie stało? — pytał już poważnie.

Teraz, choć mnie trochę ramię bolało, nie mogłem się jednak sam oprzeć śmiechowi, tak mi się wydała zabawną cała ta awantura.

— Więc Kajetan przejechał? — spytałem.

— A przejechał, słyszeliśmy tylko oddalony turkot jego bryczki.

— A ja leżałem, jak Boga kocham, leżałem!

— Leżałeś sąsiad.

— No, żeby mi to kto opowiedział, doprawdy nie uwierzyłbym.

— Mówi przysłowie: Pijanego Pan Bóg strzeże, a Franek był urznięty i Kajetanowi niewiele brakowało. Oj, napędzili mi strachu!

Pożegnaliśmy się z panem Michałem i pojechałem do domu.

Po drodze wypadło mi przejeżdżać około dworu pana Kajetana.

W oknach błyszczało światło, a gdy bryczka moja zaturkotała na drodze, otworzyły się drzwi i wyszedł pan Kajetan.

— A co? Wywrócił Franek?

— Zato mój Jędrak wywrócił — odrzekłem żartobliwie, bo mi się już humor poprawił.

— Nie może być!

— A tak.

— Nie mówiłem, trzeba było ze mną jechać.

— Ba, ja z Jędrkiem narażałem się na potłuczenie, a z Frankiem na skręcenie karku.

— Ha, ha, ha!... ma sąsiad rację!... To moja zresztą zasada, kiedy leżeć, to dobrze! Wstąp sąsiad do mnie na chwilę.

Wstąpiłem wtedy, bo dziś pan Kajetan istotnie „leży” po swojemu: resztki przeszastał, i sam goni gdzieś po świecie za nową fortuną.

— Ale patrz — przerwał opowiadanie wujaszek — ściemnia się, a nie każdemu uda się tak na Zarwańcu, jak panu Kajetanowi na Zaleskiej górze i trytwie.

— Trzeba istotnie jechać, bo nareszcie i mój Pietrek nie może być porównany z Frankiem.

I znów młodszy mężczyzna wyszedł z ganku, aby zawołać Pietrka.

Para siwoszów zajechała z fantazyą.

— Przejedziesz na Zarwańcu?

— Ojoj!

— Tylko bez „ojoj”, a przedewszystkiem nie śpij w drodze.

I siostrzeniec uściśnął dłoń opowiadacza - wujaszka.

— Dobranoc!

— Dobranoc!

— Ruszaj!...

A L K O R.

(Lekcyja astronomii).

Wierzchołek rozłożystej lipy nurzał się w rumanem świetle zachodu, dołem zaś, w ocienionej gęstwinie liści, przechodziły jakieś fale siwawe, wywołane podmuchem zrywającego się już wiatru. Była to chwila, kiedy światło dzienne tryska na pożegnanie całą tęczę barw świetnych i wsiąka z wolna w szare tło wieczoru.

Pod lipą widzimy trzy osoby.

Na prostej ławeczce drewnianej siedzi młoda dziewczyna w dużym, słomkowym kapeluszu, podwiązanym czerwoną wstążką i, pomimo nadchodzącego zmroku, pilnie szyje na ręcznej maszynie, pochylając się nad stołem dla sprawdzenia kierunku szwów migającej igielki. Obok buja się huśtawka, wprawiana w ruch przez opalonego drugoklasistę, a na huśtawce śmieje się i trzepoce śliczny dzieciak, czternastoletni może podłotek.

— Maniu!—woła trzpiot z huśtawki—mnie się on odrazu podobał, a tobie?

Odpowiedzi nie było.

— Już ja wiem, że ci się podobał, tylko się kryjesz.

— Dzieciak jesteś, moja Zosiu!

— A czemu się tak zawsze czerwienisz? Jak się kto czerwieni, to znaczy, że mu serce mocniej bije...

— Pleciesz bez sensu; lepiej uważaj, bo spadniesz z huśtawki.

I młoda szwaczka pochyla się pilniej jeszcze nad robotą, a tymczasem zawiązuje się rozmowa między podlotkiem a gimnazystą.

— A surowy on?—pyta podlotek.

— E, gdzie tam, nigdy się nie gniewa.

— Doprawdy? Jakbym ja była profesorem, tobym dopiero za uszy darła i łapy biła, co się zmieści...

— Oho, widzisz ją! A jabym ci się dał? — wykrzykuje czupurnie drugoklasista.

— A czem on jest?

— Matematyk. I jaki! Powiadam ci, jak wemnie zadanie, choćby najtrudniejsze, to ci w mig zrobi, nawet na potrójne prawidło. Bo my już takie robimy...

Podlotek z admiracją patrzy na uczonego brata i milczy przez chwilę.

Potem wykrzykuje nagle:

— Co? chciałbyś, Wicek, żeby się on ożenił z Maniusią.

Manusia odrywa się od maszyny, robi poważnie uroczystą minę i mówi:

— No, dosyć tego, dzieci. Jeżeli nie przestaniecie, pójdę ztąd sobie.

Ledwie to wypowiedziała, Zosia już była

przy niej, a obejmując starszą siostrę za szyję, wołała:

— Nie puszczę cię, Maniuchno! Mamy przecież obiecaną lekcję astronomii.

— Nie można wciąż nudzić pana Władysława.

— Kiedy on tak lubi opowiadać.

— Może teraz zajęty.

— Zaraz zobaczę.

I nie słuchając protestów siostry, mała trzpiotka pobiegła do oficyny, zajmowanej przez nauczyciela Wicka.

W pokoju szaro już było, przy otwartem oknie, przed którem chwiały się sylwetki krzaków, siedział młody człowiek, pochylony nad kajetem. Wprawna ręką kreślił na papierze figury geometryczne, szeregi cyfr i znaków algebraicznych.

— Przeprowadziwszy ordynat przez punkt A, otrzymamy nową wielkość, którą prowadzimy do różnicowania...

W tej chwili przez drzwi uchylone wsunęła się główka Zosi i rozległ się głos:

— Można?

Młody człowiek podniósł się od stolika.

— A, panna Zosia. Proszę.

— Przyszłam panu przypomnieć obiecaną lekcję astronomii. Patrz pan, już gwiazdy się ukazują na niebie.

— Zaraz służę.

Zamknął zeszyt, ułożył książki i w towarzystwie Zosi podążył do ogrodu.

Był to typ młodego uczonego z twarzą bladą, oczyma nieco zmęczonemi, lekkim zgarbnieniem pleców i zaniedbaniem w ubraniu. Zatopiony w swych

studiach, zamyślał się często, a wtedy w łagodnych oczach miał niby rozmarzenie.

Idąc z Zosią, widocznie kończył w myśli rozpoczęty na papierze rachunek, bo zsunął brwi i oczy skierował w przestrzeń.

Tymczasem Zosia z minką bardzo poważną prawiała:

— Żeby pan wiedział, jak Mania lubi pana słuchać.

— Panna Marya jest osobą poważną, która interesuje się naukami ścisłymi.

— E, to nie dlatego...

Młody człowiek spojrział, jak gdyby go dopiero zbudzono, i z mimowolną naiwnością zapytał:

— A dlaczego?

— Widzi pan... — zaczęła poufale Zosia i urwała.

Następnie dodała tajemniczo:

— Niech pan dobrze patrzy.

Ze sposobu, w jaki młody matematyk rzucił okiem na rezolutną dziewczynkę, widoczne było, że zagadkowych słów nie rozumie, a nawet nie stara się zrozumieć.

Ż pobłażliwością rzekł tylko:

— Dobrze, panno Zosiu!

Zbliżył się pod lipę.

Manusia kończyła właśnie składać materję i formy, Wicek zamykał maszynę.

— Pójdźmy nad staw — zaproponowała panna Zosia.

Na zwierciadlanej powierzchni stawu odbijało się niebo, wyiskrzzone gwiazdami. Zdawało się, iż niebiosa rzuciły tu garść tego złotego piasku, któ-

rym zasiane są przestworza wszechświata. I gdy jedne gwiazdy mrugały z góry, inne kołysały się lekko na wodnej fali.

Nad stawem zatrzymali się wszyscy.

— Dzyń, dzyń, dzyń, lekcya się zaczyna!—zawołał Wicek.

— Wiciu!—upominała go starsza siostra.

Młody nauczyciel, który znów popadł w zamyślenie, zbudził się teraz.

— Czy dalej zajmiemy się jeografią nieba? — zapytał.

— Najprzód powtórzę panu wczorajszą lekcję—zabrała głos Zosia i wyciągając paluszek ku niebiosom, recytowała:—Te siedem gwiazd to Wielka Niedźwiedzica, albo Wielki Wóz; cztery gwiazdy stanowią koła, trzy—dyszel. Przeprowadziwszy linię prostą przez dwa ostatnie koła, spotkamy Gwiazdę Polarną, która świeci nad biegunem północnym. Znajduje się ona w konstelacyi Małej Niedźwiedzicy.. o, tam u góry. Pod Wielką Niedźwiedzicą świeci Arktur—taka ładna gwiazda... ot, ta...

I dalej przeskakiwała paluszkiem z Arktura na Denebolę, z tej na Atair, potem na Capellę, wreszcie wyczerpawszy całą swą wiedzę, zawołała z dumą:

— A co, może nie pamiętam? Niechby tak Wicek powtórzył.

— Myślisz, że nie? Zapytaj się pana, jaką ja mam pamięć.

Manusia, milcząca dotąd, zwróciła się teraz do pana Władysława:

— Jakże piękną nauką jest astronomia, która uczy nas poznawać te śliczne gwiazdy.

— Tak pani. Nie darmo astronomię nazywa-

ją królową nauk, choć owo poznawanie gwiazd, o którym pani wspominała, jest zaledwie najlementarniejszym wstępem do niej, tak jak poznawanie np. głównych miast jest najniższym szczeblem elementarnej jeografii. Dopiero jeografia fizyczna, polityczna, handlowa, etnografia, nauki przyrodnicze i t. d. składają się na stworzenie całości. Tak samo i z astronomią.

Wpadłszy na ulubiony temat, młody nauczyciel ożywił się. Mówił długo, rozwijając myśl swoją w coraz to nowej formie. Był to prawdziwy hołd uczonego dla swej mistrzyni—nauki.

Szli razem, podczas gdy Wicek i Zosia podążali za nimi, spierając się widocznie, kto z nich więcej gwiazd odróżnić umie, bo co chwila wyciągali ręce ku stropowi niebieskiemu.

Manusia nie spuszczała oka z młodego uczonego, który tymczasem utkwiał wzrok w ziemię i mówił zwolna, z pauzami, jak człowiek, któremu przychodzą nagle jakieś pomysły i absorbują na chwilę jego uwagę.

Mijając wązką ścieżynę, Manusia potknęła się o korzeń.

— Panie Władysławie! — zawołała rezolutnie Zosia — podaj pan Mani rękę, bo się jeszcze przewróci.

Mania obejrzała się z wyrzutem ku siostrze, lecz podała rękę nauczycielowi. Ręka ta zadrżała w zetknięciu z ramieniem młodego człowieka.

Ten jednak, zatopiony w swych myślach, nie zwracał na nich uwagi. Owszem, dziwiło go może, że ma być przewodnikiem — on, który zwykle tak roztargniony, sam w wędrówkach swoich potrzebował podpory.

— Więc pan zamierza studyować specjalnie astronomię—zaczęła Manusia.

— Tak pani, to jest moje marzenie. Po wakacjach wyjeżdżam właśnie za granicę na studia przy którymś z obserwatoryów.

— Jak szkoda, że nauka ta nie jest przystępną dla kobiet.

W słowach tych brzmiało coś więcej, niż żal z powodu zamkniętych wrót wiedzy.

— Owszem, proszę pani. Obecnie i kobiety studyują matematykę.

Mówił to głosem obojętnym, jakim się zwykle notuje fakty znane.

— Panie Władysławie, panie Władysławie! — odezwał się nagle głos Zosi—co to za gwiazda, taka mała, tu, przy drugiej gwiazdzie w dyszlu Wielkiego Wozu, o ta, ta—ta mała..

— Panna Zosia ma dobry wzrok, jak widzę— rzekł w odpowiedzi młody człowiek—ta gwiazda, to Alkor. Nazwali ją tak Arabowie, ponieważ drobna ta gwiazda ukrywa się zwykle przed mniej bystrym wzrokiem. Alkor po arabsku znaczy „próba wzroku.” Jest to gwiazda VI-ej wielkości, a wzrok zwyczajny dostrzega tylko gwiazdy do piątej wielkości.

— A pan ją widzi?—zapytała dumna ze swego odkrycia Zosia.

— A jakże. Pomimo znużenia oczu, zachowałem wzrok względnie bystry.

— Doprawdy? Więc się przed panem nic nie ukryje?

— O, wiele rzeczy ukryć się może przed okiem człowieka, lecz mamy do pomocy szkła optyczne.

— Proszę państwa na kolację! — rozległ się w tej chwili głos służącego z ganku. — Waza na stole.

Manusia pobiegła pierwsza przez dziedziniec do pomocy matce, za nią w podskokach podążył Wicek. Zostali się Zosia i młody nauczyciel.

Rezolutny podłotek wpatrzył się w twarz młodzieńca i zapytał:

— Jak pan uważa naszą Maniusię?

Młody człowiek bez zdziwienia przyjął to zapytanie. Przywykł on od kilku dni swego pobytu na wsi uważać Zosię za małego dyabełka, którego należy zbywać pobłażliwością.

— Panna Marya jest bardzo dobrą i poważną osobą—odrzekł łagodnie.

— A widział pan, jaka ona ładna?

Teraz pan Władysław uczuł się już wprost żaźnowanym. Był on z natury nieśmiałym, spuścił więc oczy i pokrył słowa Zosi milczeniem.

— A więcej nic pan nie zauważył?

— Cóż takiego?—odezwał się wesoło.

— No, że... E, i pan powiada, że ma pan wzrok bystry.

— Dostrzegam gołem okiem Alkor—tłómaczył się biedny profesor, wzięty na indagację przez trzpiotowatą dziewczynkę.

— Co tam Alkor!...

Wchodzili właśnie na schody do ganku. Tu mały trzpiot z komiczną minką dygnął przed panem Władysławem i wyrzekł uroczyście:

— To chyba panu potrzeba lunety.

.

Był to początek wakacyj. Może w końcu pan profesor dostrzeże gołem okiem wskazywaną mu przez Zosię—gwiazdę!

PORTECIGARRE.

(Niby humoreska).

— Byłby mnie pan ominął, nie przywitawszy się nawet. Bardzo pięknie!

W słowach tych brzmiał lekki wyrzut.

Osobą mówiącą była młoda dziewczyna w zręcznym kostymie spacerowym, w kapeluszu słomkowym, z pod którego spoglądały żywe, ciemne oczy. W oczach tych, zwróconych obecnie na idącego obok mężczyznę, widać było odbicie tego samego wyrzutu, który przed chwilą zadźwięczał w intonacji głosu dziewczyny.

— Nie spostrzegłem pani.

— Byłeś pan zamysłony.

— Czy wie pani! Śmieszne to może, ale upoiła mnie wiosna.

— Upoiła? Istotnie, nie posądzałam pana o taką wrażliwość...

— Na zmiany temperatury i pogody. Widzi pani, to przychodzi z wiekiem.

— Nie rozumiem.

— A jednak to tak proste. Dopóki rachujemy wiosny, każda z nich, z jej błękitem, kwieciami i zielenią mija, jak szła niepostrzeżenie. Wiosna u nas samych zlewa się całkowicie z wiosną przyrody, a zlanie to jest tak łagodne, naturalne, że nie

pozostawia silniejszego wrażenia. Dopiero, gdy zaczęliśmy rachować zimy, z każdym nowem odrodzeniem się natury żałujemy wiosen, jeśliśmy je zmarnowali, lub tęsknimy, że już dla nas nie wróca. Oto wyjaśnienie, może zbyt ckliwo-sentymentalne, powtarzam jednak: jestem pod wrażeniem wiosny.

— Wszystko to dobre, ale mimo to pozostaję w nieświadomości, co pan tu stosuje do siebie.

— To, że rachuję już zimy.

Dziewczyna spojrzała badawczo w twarz mężczyzny. Twarz ta była jej dobrze znaną, choć często ulegała zmianom. Zwykle to była twarz o rysach ostrych nieco, z wyrazem oczu surowym, ze zmarszczkami na czole, z uśmiechem ironicznym na wąskich ustach. Wówczas głos brzmiał monotannie, szorstko, lub nabierał akcentu złośliwego.

Czasami znów, a zdarzało się to podczas ich rozmowy, na twarzy tej zalegała pogoda, rysy łagodniały, zmarszczki znikwały, głos nabierał miękkości i dźwięczności. Tak było właśnie w tej chwili. Szare oczy mężczyzny z wyrazem jakiegoś rozmarzenia i smutku obejmowały zręczną postać młodej dziewczyny, na której twarzy igrały refleksy od przeświecającej na słońcu czerwonej parasolki, walcząc z cieniem, rzucanym przez rondo kapelusza.

Dziewczyna nagłym zwrotem wzrok swój cofnęła z twarzy mężczyzny.

— Zimy?—szepnęła.—Czy nie zawczasie?

Oboje zamilkli na chwilę. Przechodzili przez ogród miejski, a teraz wyszli na ulicę. Nie było tu już zieleni, tej świeżej, soczystej, nieskalanej jeszcze kurzem zieleni, która na krótko tylko ukazuje się oczom mieszczuchów w ogrodach, alejach i na skwerach miejskich.

Ruch uliczny widocznie podziałał na mężczyznę, gdyż zaczął zwyczajnym tonem:

— Koniec końców, wszystkie te moje westchnienia do wiosny są prosto głosem zrujnowanego zdrowia, które na gwałt domaga się reperacji na świeżem powietrzu. Jestem znużony, wyczerpany, a doprawdy nie wiem jeszcze, czy, i dokąd wyjadę. *A propos*, pani wyjeżdża?

— Prawdopodobnie. Przynajmniej mama wy bierała się do wujowstwa.

— Na całe lato?

— Zdaje się. Wróciłybyśmy we wrześniu. Zresztą, są to tylko projekty.

— W każdym razie projekty miłe. Jeśli się nie mylę, ma pani tam kuzynów?

— Jednego, Janka. Wesoły, sympatyczny chłopak, a przede wszystkim dobry brat.

Wyraz „brat” został lekko podkreślony.

— A pan nie ma jeszcze żadnego projektu?— dorzuciła po chwili.

— Wspomniałem już, że nawet nie wiem, czy-uda mi się wyjechać. Nie robię też żadnych projektów, aby się nie zawieść następnie.

— Pan się obawia zawodów?

Mężczyzna spojrział prawie impertynenckō w oczy mówiącej.

— Doprawdy, pani... — zaczął głosem rozdrażnionym i urwał.

Następnie rzekł krótko:

— Nie, jestem za ostrożny i za stary.

Po raz wtóry mówił dziś o swej starości.

Dziewczyna spoglądała na niego z ciekawością. Znali się dość dawno. Był jej nauczycielem, a następnie mentorem. Mówili z sobą o rzeczach poto-

cznych, o teatrze, koncertach, o wspólnych znajomych, o przeczytanych książkach; mówili raz seryo, innym razem śmiejąc się i żartując — nie dotykali jednak nigdy wzajemnego stosunku swego. Przywykła go uważać za dobrego znajomego, za przyjaciela, za powiernika swego. Z sympatyą swą dla niego nie taila się wcale. Witała go z twarzą rozjaśnioną, z wyciągniętą dłonią, nie zapytując siebie, dlaczego to czyni. Możeby się czasem zawahała, ale on zawsze tak wszystkie oznaki życzliwości spokojnie przyjmował. Nawet drażniło ją to nieco.

W tej twarzy, która to chmurna i surowa, to znów pogodna i rozjaśniona spoglądała na nią, nie szukała lat; interesował ją przedewszystkiem człowiek, nie zdawała sobie zaś sprawy, jakim jest jej stosunek do mężczyzny.

Kilka momentów z krótkiej rozmowy na ulicy zastanowiło ją teraz.

Zatrzymali się przed sklepem.

— Mam tu kilka sprawunków do załatwienia, muszę pana pożegnać. Wszak będzie pan u nas niezadługo?

Stała osłonięta parasolką, która tworzyła płomienne tło dla jej główki.

Mężczyzna miał tylko jedną odpowiedź:

— Będę.

* * *

Był odtąd już kilka razy i rozmawiał z nią długo. Teraz do rozmów obojętnych coraz częściej mieszały się półsłówka i aluzye, do których mate-

ryału dostarczała ta sama wiosna, z oczyma niezabudek i rumieńcem róż polnych.

I rzecz dziwna, inicjatywę w tem brała niepodzielnie prawie piękna dziewczyna, z początku wahajaco się i nieśmiało, potem coraz śmieiej—gdy tymczasem mężczyzna bronił się tylko — z początku śmiało, potem coraz słabiej.

Pewnego dnia zakomunikowała mu, że projekt ich wyjazdu z matką ulega zmianie. Miała oddzielnie wyjechać do chorej przyjaciółki, z której rodziną łączyły ich węzły przyjaźni.

— Będzie nam tu smutno — odpowiedział jej na to.

Mówił „nam,” bo nie śmiał jeszcze powiedzieć: „mnie.”

Jako przyjaciel zajął się ułatwieniem jej wyjazdu, wykupił paszport, dopomagał w sprawunkach, a twarz mu się wciąż chmurzyła, jak dawniej.

Przyszedł wreszcie dzień wyjazdu. Już na dworcu dziewczyna ścisnęła mu rękę.

— Za powrotem podziękuję panu za jego dobroć. Do widzenia!

Zarumieniona twarzyczka uśmiechnęła się do niego z okna wagonu i zniknęła w oddali.

.

W końcu sierpnia ruch panował w mieście. Wracano z wód i letnich mieszkań. Odwiedzano się i dopytywano o tych, którzy jeszcze nie przyjechali. Letnie wakacye mieszczuchów już się skończyły.

Piękna dziewczyna powróciła również od swej przyjaciółki.

Mężczyzna o szarych, spokojnych oczach i surowej twarzy, którego poznaliśmy poprzednio, wchodził właśnie z przedpokoju do saloniku, zapełnionego jeszcze otwartymi kuferkami. Ze spokoju, z jakim wchodził i z marmurowej nieruchomości rysów trudno było odgadnąć, czy pamiętał owe wiosniane gawędy, czy przypominał sobie pożegnanie na dworcu kolejowym.

Pierwsza powitała go, wyciągając do niego serdecznie obie ręce, starsza kobieta.

— Wie pan—mówiła wesoło—nowina! Nasza Zosia zaręczona.

„Nasza,” to znaczyło jej córka i jego—uczenica. Wszakże był jej starym przyjacielem.

Na progu stanęła właśnie młoda dziewczyna z radośnie rozjaśnioną twarzą.

— A, to pan! Pierwszy nas pan wita po wrocie. Nie zapomniałam o panu, przywiozłam mu upominek.

I wręczyła milczącemu obojętnie mężczyźnie portecigarre z nieodzownem „Souvenir.”

Było to obiecane podziękowanie i zamknięcie wspomnień wiosennych.

Dla mężczyzny miała rozpocząć się nowa zima...

C A C K A .

Szkaradny czas. Postawiony kołnierz zaledwie zabezpiecza od zadymki, która rzuca garściami dro-

bnego śniegu w twarz i chłodnym, wilgotnym oddechem obejmuje całego człowieka od stóp aż do głowy.

Zeby się Janek aby nie zaziębił. A tak się napierał:

— Pójdę z tatusiem, pójdę!...

— Janku, czy ci nie zimno? Zobacz-no, czy ci się szalik nie odwiązał.

Aha, albo on wie, co się dzieje na ulicy! Rozszerzonymi oczyma pochłania wystawy, gdzie czerwienią się, błękitnieją, złocą i srebrzą książki i zabawki. Wokoło szara głębia zadymki, kałuże rozdeptanego błota na chodnikach, niebo mętne i dziwnie niskie nad ziemią, a on tam roztapia się w błękiecie i tonie w złotych promieniach niedalekiej Gwiazdki. Czuję, jak co chwila zwalnia kroku i ręka moja doznaje oporu lub nagłego szarpnięcia.

— Tatusiu, jakie to śliczne!—szepce.—Czy mogę się przyjrzeć lepiej?

Jestem tatusiem pobłażliwym, więc ulegam. Stajemy w oknie, oblani światłem gazowem, a Janek przypada do szyby.

— Tatusiu, co za śliczny konik! Ach, jaka szabelka! A to, tatusiu, co to takiego? Do czego to? Do czego tamto?

Pyta i nie czeka odpowiedzi, bo go już co innego pochłonęło.

Co do mnie, spoglądam z roztargnieniem, lecz oczy moje coraz bardziej odrywają się od szarej, mętnej zadymki.

Dzieciństwo, ażeby mnie te cacka interesowały?

Stanowczo dziś są gustowniejsze koniki, niż dawniej. Jakos wykończone artystyczniej i efekto-

wniej. Dawniej to były takie proste, skórzane, lakierowane. Przypominam sobie, nawet zapach lakieru i trocin drzewnych, które sypały się z rozprutego konia. Bo on się potem jakoś rozpruł.

Tak, tak, przypominam sobie... Była wtedy taka sama zima, tylko piękniejsza. Ach, jaka ona była piękna! Śnieżne dachy z naszego okna tworzyły taką cudną panoramę, a niebo wyglądało, jak rozmącone mleko. Lubilem całymi godzinami przypatrywać się tym dachom i temu mlecznemu niebu, ku utraپieniu matki, która odpędzała mnie, mówiąc:

— Idź mi zaraz od okna, bo tam wieje, jeszcze się zaziębisz.

Mnie zaś okrutnie bawiły te białe płaszczyzny i te migające w powietrzu płatki. Wyobrażałem sobie, jakby to było przyjemnie ważyć się tak w powietrzu na takim srebrnym płatku, spaść na dach i toczyć się po miękkiej pościelce. Ba, aniołowie to mogą tak się ąawić! Mają skrzydła i fruują sobie, gdzie chcą. Żebym to ja miał skrzydła, choć takie maleńkie skrzydełka... Choćby takie, jak ta wrona, co siadła na dachu i płonąc śnieżną białością łabędziego puchu.

Lubilem przypatrywać się tym czarnym wronom. Takie to zabawne ptaki, gdy ciężko opuszczają się, lecąc skośnie przez powietrze i padając na rozkraczone nogi. Albo kiedy się zrywają niezgrabnie i odzywają się przenikliwie, „kra, kra!”

Ale najwięcej interesowały mnie śnieżne igiełki, szybujące w dzień mroźny, słoneczny, w przejrzystym, jak szklanem, powietrzu. Sypały się one niby isierki, niby deszcz dyamentowy, a moje oko dziecinne, wrażliwe i niezmezone, chwytalo całą grę barw, strzelających z tych drobniutkich kry-

szałków. Albo te kwiaty lodowe na szybie!... Com ja się w nie wtedy nie nawpatrywał! Zajmowała mnie matowa siatka, jaka się rozsuwała na szkłe, ciemnawa pod światło i podobna do liści paproci. Od dołu jednak, u samej ramy, z grubej warstwy strzelały przezroczyste słupy lodowe i rozpały się w tęczę, gdy padł na nie promień zimowego słońca. Wyobraźnia moja z tych kolumn budowała całe czarowane światy. Był tam pałac kryształowy, taki „za górami i lasami,” do którego długo iść trzeba i być koniecznie rycerzem.

Siadałem wtedy na stołku i bijąc piętami zapamiętałem w deskę, jechałem do tego pałacu. Jechałem zaś tak komicznie, że najczęściej matka otwierała drzwi i wołała:

— A będziesz ty cicho, nieznośny dzieciaku?

Ala ja już przyjechałem tymczasem i służba wprowadzała mnie właśnie do zaklętych komnat, gdzie było tyle cudów, tyle czarów, tyle woni, tyle światła...

Ach, jak wtedy człowiek, taki maleńki i taki wąty, żył jednak całą pełnią życia, całą świeżością niestępionych zmysłów!

Jak ja odczuwałem wtedy zapachy. Czułem naprzykład doskonale zapach śniegu i oddech powietrza zimowego. Pamiętam tak dobrze zapach naszego pokoju, zapach w meblach, zapach ogrzanego powietrza. Przed świętami dostawała się tu cała skala zapachów pieczonego ciasta. Zdawało mi się, że odróżniam w niej woń pieczonej dla mnie strudelki.

Ach, jakie to były cudne te chwile przedświątne!

Kiedy rankiem rozchylałem klejące się jeszcze snem oczy, pokój wypełniał śnieżny, jaskrawy blask słońca, płynący białą falą od okna. Czuło się odrazu śnieg na dworze, a w mojem łóżecku było tak ciepło, tak dobrze. Więc przymykałem oczy i przytulałem się do poduszki, udając, że nie słyszę głosu matki, która wołała:

— Stasiu, wstawaj!

A ja leżałem, jak hrabia i przez zmrużone rzęsy sączyłem w siebie słodycz dnia i rzeczywistości, mieszając ją z ulatującymi sennymi marzeniami.

Za chwilę pochylała się nademną twarz matki, taka słodka, taka dobra, taka cudna, jak u tego Anioła-Stróża, z którym we śnie uganiał się razem w mglistym obłoku za tumanem śnieżnych płatków.

— Stasiu, wstawaj!

Uczułem pocałunek na czole, ale zaraz jeszcze przymykał oczy, choć taką miałem chętkę rzucić się matce na szyję.

Matuchna tymczasem łaskotała mnie lekko to pod brodę, to po kolanach, a ja przykrywałem się kołdrą, wywijałem nogami, aż nareszcie wybuchalem śmiechem, że to niby mamusię zwiódł, bo ja już z dobrą chwilę nie śpię.

— No, ubieraj się, śpiochu, bo to dzisiaj Gwiazdka—konkludowała matka.

Zrywałem się wtedy na równe nogi i ubierałem się śpiesznie. Nawet myć dawałem się bez oporu.

A co to było potem zajęcia! A to wiercenie maku, a to oglądanie ryb, a to skradanie się do drzwi tajemniczego pokoju, z kądem rozchodził się zapach żywiczny choiny.

Nareszcie zabłysła gwiazdka. Pamiętam, jak mi się wtedy wszystko wydawało niezwykle jasno w domu. Jaskrawość złotawego światła lamp podnosiła niepokalaną białość obrusa, w świetle skryła się zastawa, a mnie się zdawało, że tak wspaniale jest chyba w tym kryształowym pałacu wróżki lub w samym niebie, gdzieśmy się we śnie bawili w ścieżki z aniołem stróżem. Tak, tam z pewnością musi być biało, jak na Boże Narodzenie na ziemi, i tak jasno, jak na Wigilię, i tak cudnie, jak w domu u tatusia i mamusi.

A wtem otwierały się drzwi i ukazywała się postać ojca. Strząsał on śnieg z ubrania i zasłaniał przed moim ciekawym wzrokiem zabawki.

— O, jakże pamiętam tę pocziwą, uśmiechniętą dobrotliwie twarz ojca, gdy witał się z matką i mnie całował.

— No, cóż, wigilia gotowa? A Staś był grzeczny...

Okazywało się, że zawsze byłem grzeczny i gdy zapaliła się choinka, iskrząc się płomykami świeczek i milionem iskier na drżących błyskotkach, miałem tak samo rozszerzone oczy, jak mój Janek. Tak, był tam taki sam konik, taka sama szabelka, taka sama fuzyjka... Przypominam sobie, jakby to wczoraj było. Czuję chłód blachy, zapach lakieru, zapach i smak lufy od fuzyjki, gdy m ja ślinił dla obsadzenia kołka... Bom ja pochłaniał te rozkosze wszystkimi zdrowymi zmysłami; była to wtedy istotna rozkosz życia...

...Jak te myśli moje płyną szybko i jak te lata ubiegły wartko! Gdzie one są? I jakie to dziwaczne: wtedy rachowałem lata zimami, od gwiazdki do gwiazdki, potem przyszła kolej na wiosny,

a potem znów na zimy... Tylko to już nie są te same zimy...

Pamiętam blade oblicze matki, jak się uśmiechała smutnie do mnie — po raz ostatni... Było to jakoś zimą, taką straszną, mroźną zimą...

I ten ranek blady pamiętam, gdy siwa głowa ojca zwisała bezwładnie na mojem ramieniu, a ta droga, dobra pocziwa twarz nabrała nagle nieruchomości i białości lodu.

Zdawało mi się wtedy, że to wirujące kręgi jakiejś olbrzymiej, groźnej zawieji porywają mi te drogie postacie, a mnie przejmują chłodem aż do głębi duszy... Tak, odtąd było mi coraz zimniej, coraz mroźniej w życiu.. Śnieżne płatki coraz częściej topniały mi w ciężkich kroplach na rzęsie i osiadały siwizną we włosach... Przypominam sobie tę pierwszą srebrną nitkę, która zaszumiała mi w uchu: *nemento!*

— A teraz ty! na ciebie kolej!—mówiła srebrna nitka.

— Boże, jaki ja jestem stary! Doprawdy, nigdy nie uczulem się tak zgrzybiałym i tak zdartym i zużytym, jak wobec tych cacek, które mi odslaniają słoneczną krainę dzieciństwa i te przebrzmiałe rozkosze życia... Tak, ta głębia, zalana światłami, mieniająca się błękitem i purpurą, skrząca się złotem i srebrem, to cała daleka przeszłość, a moje „dziś” — to ta zadymka szalejąca dookoła i przenikająca mnie zimnem do kości.

Brr... szkaradny czas!.. O! jaki tuman śnieżny zawinął nagle gdzieś z gzemsu i odbił się od tafli szklanej..: Przysięgłbym, że układa się w jakąś dziwną postać, która ku mnie wyciąga dłonie... Ot, halucynacya znużonych zmysłów...

A jednak coś mnie odciąga od tej tafli, do której przylgnął mój Janek,

Z widoczną też ulgą szarpię gwałtownie za rękaw mego syna i ciągnę go za sobą. A gdy ten z zadziwieniem zwraca ku mnie swe oczy, mówię mu prawie z gniewem:

— No, dość tego bezmyślnego gapienia się na te głupie cacka!.. Czas do domu!..

Z A W S Z E.

Raz szła wiosna do wsi. Leciał przed nią biały sznur bociani, nad nią dzwonił skowronek, a z ziemi były mgły zielonawe, zmieszane z zapachem pracującej gleby, i pięły się, pięły zwolna na drzewa, nizając wiotką, przejrzystą osnowę, pełną pęków i węzłów złotych i obłoków błękitnych.

Wiosna poszła najpierw do lasu, rozgarnęła ściółkę i wydobyła z pod niej dzwonki modre, pierwiosnki i przylaszczki, na łące rozsiała złote gwiazdy jaskrów, a potem lała wonie w kielichy fiołków i srebrne dzwoneczki konwalii. Z lasu poszła nad rzekę do wierzb, próbować fujarek, a potem już wprost do wsi. Przy krzyżyku, na rozstaju, przystanąła, złożyła pierwszą garść kwiatów, i do chat... Dalejże więc złocić strzechy, rozpinać tęczę na szbach okien, zaglądać jaskrawym promieniem do wnętrza i omiatać obejście. W sadach, miast siatki zielonej rzuciła na trześnie i grusze biały puch łabędzi, a na jabłonie lekko różowy, jakby z od-

blaskiem zorzy. Obejrzała się, że wszystko dobre, znów przystanąła i zaśpiewała:

Płynę sobie po tem niebie
Przez tę modrość i bławaty,
Chodzę sobie po tej glebie
Precz od chaty aż do chaty
W kółeczko...

Ide sobie het przed siebie:
Dla dziewczyny niosę kwiaty,
A dla ojców pług na glebie,
Dla dziadunia dar bogaty—
Słoneczko...

Usłyszał dziaduś przyśpiewkę wiosny, wyszedł na przyźbę, posłuchał klekotu bociana na lipie, osłonił czerwone oczy dłonią i szepnął sobie:

— A no, przyszła jeszcze jedna wiosna—wiosenka!.. Może ostatnia!..

A wiosna tchnęła w lico dziadunia zapachem gleby, rzuciła mu kilka płatków różanych jabłoni pod nogi i zaszeptala z wiatrem:

— A nie!!.

— Wrócisz?

— Wrócę.

— I będziesz przy mnie za rok? za rok?..

— Zawsze!

I dziaduś obrócił spłowiałe oczy w błękit, odetchnął głęboko i pił, pił słonko ciepłe, i wonie świeże, i jędrność wiosny.

.

Za rok przyszła znów wiosna. Leciały przed nią sznury bocianów, dzwoniły skowronki, budziły

się fiołki i konwalie, a ona szła ku wsi zwykłą drogą. Umaiła las i gaj, wypróbowała fujarki nad rzeką, przystanęła przy krzyżyku, opuszyła trześnie i jabłonie, a potem wprost poszła za czarne mogiłki. Tam umuskała ciepłym wietrzykiem brzozy, wycesała ich włosy, wyprostowała trawkę, na świeżym wzgórk, wydobyla parę kwiatków, nalala w nich cudnych woni i szepnęła:

— Śpij!.. Ja znów wrócę, i za rok, i za dwa, i będę zawsze przy tobie!..

Wiosenka dotrzymała słowa.

R O S Y.

Szła sobie młoda wiosna o wczesnem świtanii od boru przez łąki.

Jużci zorza jasna porozpinała tęczę na wschodzie i zapłonęła rumieńcem przy piersi ziemi, a gaj brzmiał świegotem ptasim, aż rozlegało się daleko. W polu, zerwany z bruzdy skowronek biegł, jak kamyk rzucony w błękit, dzwonić na „Ave Maria...”

Ziemia w łąkach dyniła mgłą gęstą i woniami, a rosa ciężka, perlista, osiadała sznurami na liściach. I w tych paciorkach dużych a wilgotnych trawy łączne były jakoby siwe i kładły się niby pokosami, ociężale i nizkie.

Wiosna, bosa, z twarzą ciemną, jako ta gleba, żywiąca, z oczyma jasnemi, jako te niebiosy nad ziemią—zwyczajnie szczerza dziewucha wiejska—narwała sobie fiołków i konwalij w lesie, przyła-

szczków pod lasem, kaczeńca i jaskrów złotych
w łąkach, plotła wieńce i śpiewała sobie:

Hej! za mną przez te zorze,
Hej, za mną przez świtanie,
Idą-ci druchny Boże!
Kochanie—miłowanie.

Idzie-ci maj rozwity,
Wesela idą głosy,
Przez zorze i przez świty,
Przez kwiaty i przez rosy.
Hej!...

I pokrzykiwała sobie „hej” — zwyczajnie prosta wiejska dziewczucha — dźwięcznie i przenikliwie, a głos szedł-ci po rosie trzykroć odbity i gdzieś aż z pod lasu odpowiadał przytłumiony:

Hej-e-ej!...

Ale rosy były rankiem chłodne i ziębiły hożą bosonóżkę, więc ci przystanąła i znowu zanuciła:

Ej, wy chłodne rosy,
Czemu to ziębicie,
Gdy w zorzach niebiosy,
W tym wiosennym świcie.

Gdy z wiosny zarania
Uśmiecha się życie,

Ej, wiosny, kochania
Wy nie wyziębicie!

Hej!...

I znów od lasu pobiegło po rosie dalekie:

Hej-e-hej!...

Była-ci na rozstaju kapliczka umajona z obrazem Matki Boskiej. Zobaczyła ją wiosna i dalej-że śpiesznie wieńce splatać, a splatając, nucić po-bożnie:

Po nad te jasne zorze,
Po nad tej wiosny rajem,
Królestwo Twoje Boże —
Tyś ziemi onej majem!

W Tobie przedziwne świty
I cudna nić przedziwa,
I zorza i błękity,
Mateńko miłościwa!

I śpieszyła wiosna do stóp kapliczki, nie pomnąc, że ją rosy ranne coraz bardziej ziębiły.

Ale u kapliczki już ją ktoś wyprzedził: klęczał tam zgięty w sukmanie szarej—człowiek.

Zajrzała mu w oczy wypłowiałe, jak u nierozpukłej sasanki, a na nich takie same ciężkie, duże krople, jak te w łąkach. Jedna kropla stoczyła się, spadła — i prawie sparzyła bosonóżkę...

I zdumiała się wiosna, że w jej królestwie, w tej dziedzinie wesela i maju, są rosy takie chłodne w łąkach i takie gorące — w oczach ludzkich...

NA ZWIASTOWANIE.

(ze starych legend).

Ocknęła się ziemia po długim śnie zimowym, szarpnęła białym całunem, zgoniła mgliste welony z ciemnego jeszcze lica i jęła się do pracy.

Pracować zaczęła gleba, dysząc ciężko i okrywając się potem ros perlitych.

Pracowały drzewa, nabrzmiewając sokami i wzbierając pękami, w których rozwijały się młode liście. Przodem zaś szły wierzby i brzozy, niby przodownice na zagonie. Pierwsze ustrojone w „kotki”: jak perły; drugie w białych sukienkach, z leciutko zieleniejącą kosą.

Pracował bór, otrząsając z mchów resztę szronów, z soków resztę łez zimnych i pomrukując cicho.

Szedł szum ziemią i polem i borem, i zdradzał wszędzie pracę; szły wonie i zapachy i zdradzały przyśpieszony oddech natury.

Wiatr także pracował i szumiał. Zamiatął pole i bór, zgarniał wełnę obłoków z błękitu, budził senne jeszcze drzewa i rozpędzał tumany.

Najgłośniej jednak warczały strugi i rzeki. Wzdęły się one od nadmiaru wód, zalewały pola, popychały kamienie przed sobą i zapienione, zdy-

szane, pluskały rozhukaną falą, szumiąc nieustannie:

— Praca!... Praca!...

Uśmiechnęło się słońce do spracowanej ziemi i rzuciło jej garść purpury, złota i błękitu.

A ziemia, przyjąwszy dary, zabierała się odświechnąć całą tęczę. Bo już na zagonie i w lesie zaczęły pękać pierwsze pąki kwiatów i kołysały się z wiatrem. Dzwoniły dzwonki leśne, modrzyły się przylaszczki i sasanki, bielily, jak resztki śniegu pierwiosnki, złociły się jaskry polne i podbiały, a nawet podnosił nieśmiało senną główkę fiołek.

Słońce widziało to wszystko, ale i ono nie ustało w pracy. Promienie jego, jak czółenka złote, migaly we wzorzystych krosnach, tkając i rozszerzając wiotką przędzę na drzewach, ogrzewając ruń delikatną i świeżą i nalewając wonie w rozpękłe kielichy kwiatów.

Nie próżnowały i ptaki.

Skowronek od poranku dzwonił w błękitcie, wcześniej, niż dzwonek na Zwiastowanie, wcześniej, niż Wielkanocne dzwony. Nie darmo powiadają bowiem, że już „św. Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka.” Miałci on już gniazdo w szarej brudzie i dzwonił ziemi do pracy.

Jaskółki wybiegły z pod wody, gdzie je przez zimę więziła błękitna fala, i krążyły to nad zwierciadłem rzeczki, to nad strzechą, uganiając się za robaczkami i upatrując miejsca na gniazdo.

Bociany ciągnęły od południa i spadały z radosnym klekotem na strzechy, topole i lipy, witając starą siedzibę.

Nie próżnował i człowiek.

Wyszedł z chaty, spojrzął na wczesne już zorze i wydobył srebrzysty lemiesz, aby pomódz zie-

mi w jej pracy. Pociągnęły też pługi na rolę i krajały czarne lśniące skiby, aż tam het! pod samo niebo.

Tak było do Zwiastowania.

Aż nagle w pierwszy świt, który mdły jeszcze i błękitny przez mgły się przebijał, uderzyły dzwony.

Biegły one zrazu ciche, potem głośniejsze, rozpraszały się po rosie, to znów łączyły w harmonię i śpiewały radośnie:

— Ave!...

Był zaś w nich hymn przedziwny, tryumfalny, zwiastowanie cudu i początku życia, a cud ten poprzedził inny, który ma na imię Zmartwychwstanie. I były te promienie alfa, za którą miała przyjść płomienna omega.

Pierwsza usłyszała dzwony ziemia i zasłuchała się w nie, dysząc lekko, jakby w pół śnie, w pół upojeniu. Przestała pracować, ale była to tylko chwila skupienia na nową, pełniejszą pracę.

Usłyszał dzwony skowronek i zamilkł, zasłuchany w echa.

Usłyszały dzwony kwiaty i przestały dzierzgać swoją tęczową przedzę.

Usłyszały dzwony ptaki i przestały więc swoje gniazda.

Usłyszał dzwony bór i przestał szumieć oczarowany.

Czas trwał do zmierzchu, kiedy znów przez błękitną głębię popłynęły rozbujałe głosy z wieżycy. Biegły i teraz zrazu ciche, potem głośniejsze, rozpraszały się po rosie, to zbiegały w harmonię przedziwną i śpiewały radośnie:

— Ave!...

Był zaś w nich hymn przedziwny, tryumfalny, zwiastowanie cudu i początku życia.

Gleba, bór, kwiaty, ptaki i ludzie odebrali chrzest wiosny, a dzwony Zwiastowania przeżegnały ziemię na cztery strony świata. A choć praca w oczarowaniu i upojeniu ustała na chwilę, był to tylko moment skupienia i modlitwy w zachwycie.

Dlatego to starzy ludzie powiadają, że właściwie Zwiastowanie zaczyna wiosnę na świecie. Wtedy zlatują się najgęściej bociany, a kwiaty chrzest odbierają. Wielkie to święto! Nie godzi się weń pracować dłońmi; lecz tylko zachwyconym duchem i bijącym sercem. To też — dodają starzy ludzie — w dzień Zwiastowania nawet najdrobniejsza ptaszyna przestaje wic gniazdko i wsłuchuje się w grające echa. Gdy zaś ziemia i ludzie prześnią słodko chwile upojenia, wtedy z rannemi świty tem żwawiej zawarczy praca na wielkich krosnach natury.

WRÓBLE.

Raz, wczesnym rankiem, kiedy podniosłem ciężką jeszcze snem głowę od poduszki, powitało mnie od okna światło matowo - białe, przefiltrowane przez zamarznąłą szybę i błędzące jaśniejszemi smugami po przeciwległej ścianie. Mróz! Mróz — zdawało się ostrzegać światło.

Okryłem się szczelnie i zwróciłem głowę do okna. To tak rozkosznie myśleć o mrozie, gdy się ma koldrę aż powyżej uszu!...

Jednak ten mróz to także modernista!... Ja-

kie on zadziwiająco powyprowadzał esy i floresy, jakie czarodziejskie kwiaty ułożył, jakie arabeski spletał! To można wściec się z zazdrości!

Co mi tam wizye „przedpotopowe” wszelakich „witrażystów”, co mi lilie „stylizowane”, lotosy „sfinksowe”, a nawet „leluje” zakopiańskie wobec tej kompozycji lodowej! Daj go katu! Ten mróz to całą gębą artysta, a przytem modern — aż szyba trzeszczy!...

— Puk, puk, puk! — słyszę za oknem.

Aha, wiem, to wróble przyszły na śniadanie, sypane im co dnia szciodrą ręką dziafunia. Biedne wróble! Jakie to musi być zgłodniałe i zbiedzone na taki mróz... Pewnie to sama skóra i kości...

O, jak teraz zróżował lód na szybie! Pyszności! Przysięgłbyś, że cała zorza zimowego ranka wsiąkła w te kwiaty i ożywiła je barwą czarodziejską...

Dalibóg, mam ochotę krzyczeć z zachwytu...

Ale złotosiejny Febus robi swoje... Szyba przesiąkła teraz złotem, a w jednym rogu, tam u dołu pociemniała... Czarodziejskie kwiaty topnieją w lzy, jak marzenie i — odsłaniają szkło — prozai-czne...

Przez zrobiony wyłom zagląda ku mnie mała główka wróbla, który zabawnie wysuwa i kurczy szyję, niby kłaniając mi się na „dzień dobry”. Wspaniały jest ten obywatel ptasiego rodu w aureoli zmarzniętej szyby, która oprawiła go w tło bizanckiego srebrnego obrazka!...

To ja tego obywatela tak przed chwilą żałowałem! Patrzcie państwo!... Ależ to grubas i całym na biedaka nie wygląda.

Nastroszył pióra, minę ma zadowoloną i wygląda, jak prawdziwy spasy filister... Tak, tak!

zupełnie, jak taki zakamieniały mieszczuch w szarych szopach i czapce barankowej na uszy... Nawet kołnierz sobie postawił!.. A młóci okruszyny, aż mu się uszy trzęsą... No, wróbel niema znów uszu, ale to wszystko jedno, to potrzebne do uzupełnienia obrazu...

Aha! jest was teraz i więcej... a wszystkie takie same. Pewnie tu jest i żona tego filistra, taka opasła jejmość w czepcu... Bodajże was, moje wróble!..

Tak myślę sobie, wydobywając nogi z pod kołdry i szukając pantofli około łóżka... Są!.. A tu szlafrok!..

I myśl robi zwrot niespodziany.

— Mój kotku, i ty, zdaje się, sfilistrzałeś także i to grubo!.. Wyrzucasz wróblom, że nie korzystają dostatecznie z poezyi głodu i chłodu, a ciebie samego ażali mróz życia nie nauczył przedewszystkiem pożytku, szlafroka. Filister jesteś, kotku, i szlafmyca, przyznaj się...

I gdy w przydeptanych pantoflach podążam na śniadanie, goni za mną pracowite, a teraz złośliwie brzmiące dziobanie wróbli za oknem, dziobanie chleba:

— Puk, puk, puk, puk, puk-puk-puk...

JAK POWSTAŁ PIERWSZY TURECKI ŚWIĘTY.

(Baśń z tysiąca i drugiej nocy).

Onego czasu w wielkiem państwie Osmanów żył sobie pewien bogobojny i bogaty kupiec imieniem Ali Baba.

Miał ci on konie i rzędy kosztowne, stada wielbłądów, wory złota i żon wiele, które, aczkolwiek dużo kłopotów mu sprawiały, jednakże pod batogiem, wiernego agi w należytej karności utrzymywane były.

Żył sobie tedy w bogactwie i dostojności, ale napisano jest w Koranie: Losowi swojemu nie ujdiesz. Co ma być, niech się stanie. Aman.

Owóz z dopuszczenia Allaha, Ali Baba, który był ciekawości pełen, postanowił raz zwiedzić krainy niewiernych.

Sporządził tedy orszak bogaty, naładował wory złotem, i, ku większej swobodzie, nie wzięwszy żon (które czujność wiernego agi w należytej karności utrzymywały), ruszył samowtór z pachółkiem ku północnej stronie.

Chciał ci on zasie najpierw zwiedzić Lechistan, o którym zdawna słyszał, że ma lud krzepki do bitki i wypitki (wiadomo, giaur niewierny świninę nieczystą jada, winem popija, za co niech go Allah pokarze!...) i że kraj to bogaty, chociaż ładu w nim niema, chociaż każdy chłop ledwie jedną babę ma, a i tej rady dać nie może.

Ruszył tedy Ali Baba i słuch o nim zaginął.

Aliści, gdy księżyc złoty obrócił się ze dwadzieścia razy, powrócił bogobojny kupiec, ale w jakimże stanie! Miast drogich sukien okrywała go opończa podarta derwisza, miast rumaka arabskiego, miał kij sękaty, którym się podpierał.

Oblicze jego było wynędzniałe, oczy podkute i zamglone, jako u tych, którzy trawią czas na modlitwie i pościech, oraz na rozmowie dusznej z Allahem. Szedł i szeptał cicho, pewnie werset z Koranu:

Serce moje minionem zawsze wierne echom,
 Dusza pełna tęsknoty, wspomnieniami żyje,
 Jestem bez żądz, bez pragnień, zmartwiałą na
[poły,
 Bo miałem, a teraz niemam, zgoła jestem go-
[ły ..

Ludzie ustępowali mu z drogi ze czcią wielką, a wieść o bogobojnym derwiszu doszła aż do padyszacha.

Ten, gdy noc zapadła, a przez lazuruowy namiot nieba przeglądać zaczęły jasne oczy hurysek, kazał przywołać Ali Babę i opowiedzieć sobie jego przygody, ile że go tego dnia bezsenność trapiła.

— Przybyłem do Lechistanu—zaczął Ali Baba— na sam początek święta Al-Karnevalu...

— Co to jest? — zapytał padyszach. — Ażali niewierni giaurowie stali się wiernymi?... Ażali to jest coś z Al-Koranu?...

— O nie, słońce świata!—rzekł Ali Baba—to ich Ramazan, w którym uciechy swoje sprawują.

— Jakież to uciechy?—dopytywał padyszach.

— Poznałem je rychło. Poprowadzono mnie tedy do sali, pięknej, jak raj Mahometa. Były tam palmy i mimozy i paprocie, i wszystkie kwiaty wschodu, a zapachy nardu i ambry aż odurzały. Jakaś rajska muzyka przygrywała za krzewami, a wśród oślepiającego blasku przewijały się hurysy cudne...

— Co mówisz?—rzekł padyszach z iskrzącymi oczami.

— Tak, światło świata! Hurysy, odziane ledwie do połowy i bez zasłon. Porywali zaś je w pół czarni agowie i kręcili się wściekle, jak to czynią nasi derwisze w swoim tańcu. Owóż upatrzyłem

sobie jedną hurysę i rzekłem do niej słowami poety perskiego Abu Saida Fajdullaha:

Róża wśród pól pachnących piękność z ciebie
 [wzięła,
 W zwierciadle serca jasność ust twych się od-
 [biła,
 Zaś słońce pyłkiem jeno jest światłości twojej,
 Azaż chcesz serca mego, to weź je, o miła!...

— A dasz „bakczysz”?

Tedy dałem i dawałem ciągle, a złoto sypało się na uczty, oblewane winem...

— Nieszczęsny! — krzyknął zgorszony padyszach—każę cię ściąć!

— Nie czyń tego, królu królów, albowiem objaśniono mnie, że w Lechistanie w onem winie niema wina, jeno woda, korzeniami zaprawna i skórką paloną chleba zafarbowana.

— Tedy mów dalej! — odezwał się uspokojony padyszach.

— Niewiele mam ci już dodać, padyszachu. Kiedy się wyczerpało złoto z mieszkań, zwleczono mi bogate szaty, zabrano konie, i zanim Ramazan się skończył wyświecono mnie sromotnie z miasta. Tedy przywdziałem strój wędrownego derwisza i, jako tam obyczaj w Lechistanie, zacząłem czas trawić na rozmyślaniu i pościech.

Zbudował się padyszach tem postanowieniem i pochwalił Ali Babę, zapewniając go, iż odtąd co dnia w przedsionku pałacowym znajdzie dzban wody źródlanej i kromkę chleba suchego.

Ali Baba zaś odszedł, mrużąc z Koranu:

Choć serce się włóczyło po pustyni życia,
 Na trzaski połupane do dom powróciło,

Jestem bez żądz, bez pragnień, zmartwiały na-
 [poły,
 Com miał, teraz już nie mam, jestem zgoła goły...

Wszyscy zaś otaczali czią bogobojnego der-
 wisza i jednogłośnie uznali go za świętego.

On zaś chodził w skórach baranich, opończą
 podartą ledwie osłaniając nagość swoją.

Tak powstał pierwszy turecki święty po po-
 wrocie z Lechistanu i po Ramazanie.

PRIMA APRILIS.

...Prima aprilis—tfy!...

Panu śmiech, panu wesele, a nam, biednym
 żydkom, czasami choć płacz. Niech pan posłucha,
 co panu powiem. Jak handluję z różne staroży-
 tności, co się nazywa tandetę, jeszcze takiej przy-
 gody nie miałem. Przygoda „wesoła,” *fein!* niech
 jej moje wrogi zaznają!

Pan zna studenty? Każdy to taki wesoły, aj,
 taki wesoły, jak wróbel na wiosnę. A jakie one
 bywają gołe! to drugie tyle co wesołe! Ale to nic,
 on sobie śpiewa, jak wróbel, papierosy pali, jak
 smok i kocha się zawsze w te panienkę z przeciw-
 ka. U nich jednak można zarobić i ja panowie
 studenty bardzo lubię, choć to wielkie figlarze.

Raz taki wesoły student kiwa na mnie z góry.
 — Handel, chodź!

Czemu niemam pójść? To mój fach. Idę na
 czwarte piętro, na facyatkę. Schody krzywe, zady-
 szałem się, ale w moim fachu niema fatygi. Ile
 razy, pan myśli, ja robię taki kurs na facyatkę?

Może dwadzieścia, może trzydzieści razy, może więcej, a czasami całkiem po próżnicy. Trudno, trzeba żyć.

Wchodzę do stancyjki, a tu dwa studenci mieszkają. Jeden siedzi przy stoliku z papierami, a drugi z polikliniki, pan wie, te na Marszałkowskiej ulicy, leży z papierosem na łożku.

— Handel— powiada pierwszy —chcesz kupić „portugalię?”

Pan wie, oni to nazywają „portugalię” z wesołości, choć to nie jest żadna geografia.

— Jabyrn wolał żakiet, marynarkę, stare kamazę, ale cóż robić, niech pan pokaże tę „portugalię.”

On mi pokazał. Patrzą u dołu—trochę strzępy, patrzą w samo dno—sito!

— Co pan chce za ten łachman?—pytam.

—No, no!—gniewa się student—ostrożnie z gębą, (jaki one czasami bywają ordynarne!) Łachman czy nie łachman, dasz rubla.

Więc ja sobie pomyślałem: „jak się ociepli,” ale powiedziałem tylko:

— Dam dwadzieścia kopiejki, same srebrne, brzęczącą monetę, ani grosza mniej.

— To się wynoś!

Więc ja poszedłem za drzwi i jeszcze raz tylko powiedziałem:

— Dam piętnaście kopiejki, niech stracę!

— Dasz rubla, albo idź precz.

— Panu nikt nie da i piętnaście kopiejki.

— Zobaczymy.

— Poszedłem, ale się zatrzymałem na schody, bo słyszę, jak student woła innego kupca. Więc ja zaraz temu kupcowi powiedziałem o co chodzi,

żeby ceny nie podbijał i my poszli razem na górę. Przez drzwi ja słyszę, jak ten student na łóżku powiada głośno:

— Franek, a zrewiduj „portugalię,” bo jakeś mi jej pożyczał na balik, wpakował mi się za podszewkę „fajgel.”

Papierek!

— Może nawet trzyrublówka. Wtenczas miałem „flotę” i nie chodziło mi o to.

— Gdziebyś teraz znalazł. A zresztą szukaj sobie.

Więc ja otwieram drzwi raptem i mówię:

— Ja, panie, postąpię!

I łap za nogawkę, a tu mi coś jest za podszewką; w palcach chrzęści, całkiem jak „papierek.” Ale i tamten łapserdak także chwycił za drugą nogawkę i powiada:

— Ja kupię!

— Czekaście!—woła student—tam są podobno pieniądze. Trzeba przeszukać.

— Na co? po co to? Na moje sumienie tu nic niema, tylko same dziury.

— I tu także nic niema, żebym tak zdrów był — przyświadcza tamten łapserdak, ale nogawkę trzyma.

— Więc co będzie — pyta student — dacie rubla?

— Ja dam pół—powiadam.

— Ja dam sześćdziesiąt kopiejek — woła ten drugi kapcan.

I ten, ten gałgan, ten łapserdak, ten łajdak, co nie miał podbijać cenę, zaczyna licytować.

To my się posprzecjali — pan wie, w handlu człowiek jest zawsze gorący — trochę pogniewali, trochę nakrzyczeli, aż ten student na łóżku z uciechy nogami fikał. Wesoły był.

Ale kiedy my się trochę posprzecjali, to my także trochę ciągnęliśmy nogawki do siebie, trochę szarpali i zdarzył się trochę feler, a potem całe przygode. Ta siła w samo dno nie wytrzymała, zrobił się krach i my odlecieli do ściany każdy ze swoją nogawką w garści.

A panowie studenty, powiadam panu, tylko się śmieli, aj, jak się oni śmieli!

— No, i cóż teraz? — pyta ten starszy. — Zepsuliście mi mój „strój balowy” (on to teraz nazywał „strój balowy!”) trzeba zapłacić.

Więc my się porozumieli z tym drugim kupcem, a że on nie chciał oddać swojej połowy, to my musieli teraz zapłacić po całe pół rubla—*bares geld*.

A potem kiedyśmy weszli do sieni, to co pan myśli, myśmy znaleźli każdy w swojej nogawce... Może rubla? może trzy, co ten wesoły student zgubił za podszewką! Niech takie ruble widzą moje wrogi! To były puste kartki z napisem: „Prima aprilis.”

My zrobili gwałt, my zrobili protestowanie, ale studenty się śmieli i powiadali: pociście rozdarli nasz „strój balowy?” A z ten strój balowy i te geograficzne portugalie to teraz ledwie starczyło na porządną czapkę... Ja sobie potem na te studenty odbiłem, ale wtedy to miałem stratę i wstyd i zawód.

Prima aprilis, tfy!...

K O N I E C .



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-900 Warszawa
Tel. 26-68-53, 26-52-31 w. 42

F
310